

Gazeta Zespołu Szkół Plastycznych
im. C.K. Norwida w Lublinie

Ramota nr 51

90-lecie ZSP w Lublinie

październik 2021

ramota

W NARRACJI CIĄGŁEJ

— Z DYREKTOREM
SZKOŁY, PANEM
KRZYSZTOFEM
DĄBKIEM ROZMAWIAJĄ
EDYTA KSIĘŻOPOLSKA
I NATALIA MARUCHA

To pierwsze od dawna spotkanie z Panem Dyrektorem, zatem sporo pytań od nas, uczniów, którzy po długiej przerwie znowu się widzimy na szkolnych korytarzach. Pan Dyrektor odpowiadał, tłumaczył, wyjaśniał... Przedstawiamy Wam szczegóły tej rozmowy, witając jednocześnie Natalkę, która debiutuje w naszej Redakcji.

Czy będzie możliwość ozdobienia ścian szkoły w postaci malowideł i murali wykonanych przez uczniów – na zewnątrz i wewnątrz szkoły?

Tak, jest to możliwe i kadra dyrektorska przewiduje to, gdy pojawią się odpowiednie warunki. Najprawdopodobniej będzie to okres wiosny przyszłego roku. Obecny czas możemy przeznaczyć na projekty, wybranie miejsca w szkole, przedyskutowanie tego z nauczycielami. W poprzednim roku narodził się pomysł ozdobienia kolumn na pierwszym piętrze, tak jak na parterze. Sytuacja pandemiczna nam przeszkodziła, jednak wciąż jesteśmy otwarci na inicjatywę ze strony uczniów. Nie każda przestrzeń w szkole jest do wykorzystania, jak np. galeria, jednak pod nadzorem nauczycieli, możemy wiele zrobić.

Padło także pytanie o zeszłoroczne ankiety, a konkretniej o ubrania, torby, bądź akcesoria związane ze szkołą i jej logiem. Głosowało na to większość ankietowanych i uczniowie wciąż liczą na wznowienie realizacji tego pomysłu.

Jak wiadomo nasza szkoła już w przyszłym roku będzie zmieniać nazwę, ponieważ wraz z odejściem tegorocznych maturzystów, pożegnamy ostatnie osoby idące czterolet-

nim systemem nauczania. Pozostanie tylko PLSP, przestaniemy być Zespołem Szkół Plastycznych. Projektowanie czegokolwiek z obecną nazwą nie będzie dobrą inwestycją.

Rozumiem. Jednak czy wciąż w przyszłych latach możemy spodziewać się powrotu do tej sprawy?

Jak najbardziej. Już od przyszłego roku kalendarzowego możemy zacząć interesować się tym na nowo. Mimo wszystko nie jest to sprawa priorytetowa, gdyż zmiana nazwy szkoły wiąże się ze zmianami w jej funkcjonowaniu, z nowymi dokumentami, pieczęciami, a także szeregiem innych rzeczy. Nie zapominamy jednak o tym pomyśle.

Cieszę się. Uczniowie pytają także, co z obiadami dla osób spoza bursy?

Gdy tylko pojawi się taka możliwość, wrócimy do tego. Temat został już poruszony na zebraniu z rodzicami klas pierwszych. Jednak aby wrócić do porozumienia z bursą w sprawie obiadów, musimy uzyskać zgodę naszego organu prowadzącego. O taką zgodę wystąpiliśmy już w sierpniu. Czekamy na odpowiedź. Jeśli będzie pozytywna, natychmiast ruszymy z obiadami. Może uda się to już pod koniec września.

Poza obiadami, młodzież zastanawia się także, czy na szkolnych korytarzach pojawi się automat z jedzeniem, ciepłymi napojami?

Bardzo chętnie zaprosiłbym tu nawet chińską restaurację, jednak do roku 2023 nie możemy wprowadzić do szkoły żadnych form dożywiania. Jest spowodowane pięcioletnią karencją po procesie termomodernizacji w 2018 roku. Przez pięć lat placówka nie ma możliwości wprowadzenia obrotu finansowego wewnątrz szkoły. Bursa za to już od przyszłego roku wychodzi z karencji, więc będą oni mogli całkowicie swobodnie dysponować budżetami i możliwościami. My na ten moment i przez najbliższe dwa lata, nie.

Czyli na razie trzeba przygotowywać kanapki w domu... Padło także pytanie o brak możliwości nauki języka rosyjskiego.

Jest tak, ponieważ mamy dwa języki, angielski i francuski. Nie mamy języka trzeciego,

bo od wielu lat mamy małą grupę osób, która rosyjski wybierała na egzaminach, czy gimnazjalnych, czy też maturalnych. Z tego powodu mamy nauczanie dwóch języków zachodnioeuropejskich.

Obowiązkowo muszę także zapytać o sytuację epidemiczną. Czy przewiduje Pan przejście na nauczanie zdalne, bądź hybrydowe?

Myślę, że do całkowitego zamknięcia szkoły, na dłuższy okres czasu nie dojdzie. Około 60% społeczeństwa jest już zaszczepionych, więc skala tego problemu powinna być mniejsza, nawet podczas czwartej fali, zapowiadanej na październik. Będziemy się jednak dostosowywać. Mogą nastąpić punktowe wyłączenia, typu nauczanie zdalne przez tydzień i stacjonarne przez tydzień. Nie zależy to jednak głównie od nas, ale będziemy starać się unikać całkowitego zamknięcia.

Dobrze. To tyle z pytań nurtujących uczniów.

Poza pytaniami, chciałbym jeszcze powiedzieć, że w pierwszym semestrze będziemy mieć w szkole ważne przedsięwzięcie. Jako nauczycielom, mogą nam one zabrać sporo uwagi, jednak chcielibyśmy, abyście także uczestniczyli w tych przedsięwzięciach. Najbliższe, bo już za dwa tygodnie, jest Makroregionalny Przegląd Wyróżnionych Dyplomów Szkół Plastycznych, zadeklarowało się 17 szkół. Będą to dyplomy z ostatnich dwóch lat. To pierwsza rzecz. Druga natomiast to powrót do obchodów jubileuszu 90-lecia szkoły. Planujemy przeprowadzić to 28 października, w szkole. Nie wiadomo konkretnie w jakiej formie, jednak liczymy na szersze grono osób, które będą mogły uczestniczyć. Nastąpi wręczenie odznaczeń, nagród wyróżnionym nauczycielom. Chcemy również do tych obchodów dotaczyć dużą wystawę, prezentującą zasoby naszych archiwów. Następnie już w nowym roku, możliwe, że w marcu, chcemy wydać duży album, prezentujący wszystkie, najważniejsze dane z archiwów.

Rozumiem. Liczę, że wszystko uda się wedle oczekiwań. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Z ŻYCIA SZKOŁY

Lato, lato i... już październik. Przez długą, pandemiczną przerwę w normalnej nauce, wreszcie wróciliśmy do szkoły. Tęskniliśmy jak chyba jeszcze nigdy wcześniej!

Witamy wśród nas pierwszoklasistów.

Podróże kształcą – we wrześniu uczniowie klas 2a i 3a pod opieką prof. T. Banaszkiewicza i prof. M. Anudu byli w Domu Ojców Biatych Misjonarzy Afryki w Natalinie. Podobno rozmawiali nie tylko po angielsku, ale także w języku suahili.

22 września klasy 2a, 2b, 3a były w Muzeum Narodowym na lekcji Muzealne przeboje, w Muzeum Powstania Warszawskiego i Galerii Sztuki Zachęta w Warszawie. Po powrocie mówili, że mają apetyty na więcej i częściej.

We wrześniu maturzyści wypożyczyli średnio 4 książki na głowę. CZYTE-RY KSIĄŻ-KI NA GŁO-WE, w jednym mteściacu!

W ramach Lubelskiego Festiwalu Nauki klasa II B, pod opieką Pana Tomasza Banaszkiewicza udała się do Collegium Pharmaceuticum – jednostki Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, aby dokonać analizy jakościowej wybranych jonów. Po powrocie opowiadali, że reakcje chemiczne też są barwne, a te konkretne mają ułatwiać identyfikację podstawowych związków nieorganicznych.

23 września to był wielki dzień wielkiego otwarcia: wystawa XV Makroregionalnego Przeglądu Wyróżnionych Prac Dyplomowych Makroregionu Północno – Wschodniego. Prace z tej wystawy długo cieszyły nasze oczy.

Pan prof. Tomasz Banaszkiewicz wśród nominowanych do niezwykle prestiżowej nagrody BohaterON! Nominacja za realizację projektu „Historie lwowskich Polaków piórem i pędzlem pisane”, mającego na celu ocalenie od zapomnienia świadków II wojny światowej. Gratulujemy! A więcej o pasji Pana Profesora – w artykule na kolejnych stronach tego numeru.

Jak co roku 17 września pamiętaliśmy o kolejnej rocznicy agresji ZSRR na Polskę – gościliśmy Pana Mirona Borejszę ps. „Błysk”, który jako 10-letni chłopiec z Równego, był bezpośrednim obserwatorem dramatycznych wydarzeń września 1939 r.

Od października nadrabiamy za-
ległości po pandemii – dodatkowe
lekcje z polskiego, angielskiego
i matematyki. Ach jak nam tego
brakowało!

6 października – silna reprezen-
tacja szkoły (klasy 3b, 3c oraz
snycerze prof. J. Skoczylasa i prof.
W. Korycińskiego) w Muzeum rzeź-
by w Oronsku.

Trzy dni spacerów po jesiennym
Krakowie i Tatrach – pierwsze klasy
plus wychowawcy (prof. A. Alek-
sandrowicz i prof. Z. Wyroślak)
na wycieczce integracyjnej. Jesień
w Tatrach... zazdrościmy!

Tęsknimy za profesorem Kijewskim!!!

27 września świętowaliśmy Eu-
ropejski Dzień Języków Obcych –
były spotkania i śpiewy po francu-
sku i angielsku.

Cudze chwalicie, swoje poznaje-
cie – we wrześniu uczniowie klas
pierwszych pod opieką prof. Danuty
Klimali – Brauze i prof. Agnieszki
Aleksandrowicz zwiedzali Muzeum
Historii Miasta Lublina. Kolejne
spacery po Lublinie planowane są
na wiosnę.

Po przerwie znowu ruszył DKF
– dla niewtajemniczonych: Dys-
kusyjny Klub Filmowy. Seanse co
tydzień wieczorową porą, a szcze-
gółów szukajcie na plakatach.
O tym co już widzieliśmy – po-
czytajcie kilka stron dalej.

Od 8 października w Galerii Sztu-
ki A10 wystawa prac Pani Adeli
Adamczyk. Zapraszamy! Więcej
o Autorce na kolejnych stronach
Ramoty, we wspomnieniach Pana
Dyrektora, Andrzeja Mazusia.

Jak się chwalić, to się chwalić – Ka-
sia Kowalczyk z klasy 3a II nagro-
da w XV Ogólnopolskim Biennale
Rysunku i Malarstwa w Koszalinie
w kategorii malarstwo za „Głowę
starca w okularach”; wyróżnienie
równorzędne w kategorii malarstwo
dla Magdy Opalińskiej z klasy 2a
za obraz „Każdego dnia inaczej”;
wyróżnienie równorzędne w kate-
gorii rysunku dla Patrycji Gogłózy
z klasy 6b za „Wachlarz”. Gratuluje-
my laureatom oraz ich nauczycie-
lom – prof. Matgorzacie Przygrodz-
kiej, prof. Grzegorzowi Tomczykowi.

Kilka razy gościliśmy w szkole Pana
Leszka Mądzika – scenografa, reży-
sera teatralnego, malarza, fotografa,
profesora sztuk plastycznych i za-
łożyciela Sceny Plastycznej KUL.
Spotkania zaowocowały współpracą
przy powstaniu etudy w reż. Lesz-
ka Mądzika, która miała premierę
4 października, podczas uroczystości
upamiętniających odsłonięcie po-
mnika poświęconego duchowemu
dziedzictwu bł. ks. Emiliana Kow-
cza, więźnia KL Majdanek. W rolę
aktorów przedstawienia wcieliili się
uczniowie ZSP w Lublinie – Ka-
rolina Komar, Natasza Kornacka,
Olga Kucharska, Michał Wasilczyk
i Daria Wielgos oraz pan prof. Ro-
bert Wojniusz. Projekt i wykonanie
form rzeźbiarskich – prof. Krzysztof
Kijewski i prof. Wojciech Koryciński,
wykonanie kostiumów: prof. Piotr
Strobel.

Konkursy konkursy konkursy: za-
praszamy do wzięcia udziału
w I Ogólnopolskim Konkursie Po-
etyckim w Stylu Norwidowskim pt.
„Kult wielkich ludzi”. Można wygrać
pół tysiąca. Szczegóły na stronie
szkoły i u polonistów.
W listopadzie Konkurs Wiedzy
o Teatrze. Jesienne Dionizje – ktoś
pamięta, co to było?

go lat naszego Plastyka... Tup tup
tup – to przechodzi ludzkie pojęcie.



PIERWSZE WRAŻENIE MOŻNA ZROBIĆ TYLKO RAZ, CZYLI JAK NAS WIDZĄ PIERWSZE KLASY

W porównaniu z poprzednią szkołą, do której chodziłam, w tej ludzie są bardziej przyjaźni. Nauczyciele są naprawdę mili i znają się na swojej pracy. Szkoła ma wysoki poziom, ale tego się spodziewałam.

Od jakiegoś czasu myślałam o tym, gdzie iść do szkoły, aby potem móc studiować grafikę. Bałam się, że w LO nie nauczę się tego, co mi jest potrzebne do zrealizowania moich planów. Wybrałam więc tę szkołę. Zdałam egzaminy, które nie sprawiły mi problemu, co mi potwierdziło, że warto było spróbować. Najbardziej zależało mi na tym, żebym w tej szkole nauczyła się tego, co dotyczy mojej wymarzonej specjalizacji – projektant graficzny. Chciałam, aby zajęcia były praktyczne i żeby nauczyciel nami kierował. Od pierwszej lekcji wiem, że dobrze trafiłam.

Miła i serdeczna atmosfera, jedynie liczba godzin jest przytłaczająca – czasem to jest 10 godzin, które tu spędzam!

Wypuszczanie do bursy po nazwisku i zakazy wychodzenia na przerwie ze szkoły – to gruba przesada.

Ta szkoła przywitała mnie bardzo sympatycznie, i mimo że jestem tu kilka tygodni – czuję się już jak w domu. Mam nadzieję, że się nie poddam i ukończę tę szkołę.

Przychodząc tu myślałam, że zajęć artystycznych będzie nieco więcej. Niestety musimy też realizować „klasyczną” podstawę programową, przez co mamy MNÓSTWO lekcji. Mimo to podoba mi się klimat szkoły, ani trochę nie żałuję wyboru.

Lekcje od 8.00 do 17-tej – to jest wykańczające.

Jestem pozytywnie zaskoczona, bo nie spotkałam się z żadną nieprzyjemną sytuacją, a szczerze mówiąc – wyobrażałam sobie różne scenariusze. Jestem okropną panikarą, a z nową klasą dogaduję się i mam wrażenie, że jesteśmy zgraną grupą.

Myślałam, że ta szkoła będzie brzydsza.

Szkoła jest taka, jak sobie wyobraziłam. Dużo zajęć, ale ludzie sympatyczni. A atmosfera – lepsza niż myślałam.

Nauczyciele bardzo mili i pomocni, klasa bardzo sympatyczna, tak samo Pani Wychowawczyni. Liczę, że tu rozwinę swoje pasje.

Doświadczyłem w tej szkole głównie zmęczenia, ale jest ono pozytywne ze względu na przyjemnie dostarczaną mi wiedzę.

Jestem bardzo zadowolona z wyboru tej szkoły. Myślałam jednak, że w pierwszej klasie będzie więcej przedmiotów artystycznych.

Stwierdzam, że tu jest świetnie. Trafiła mi się wspaniała klasa, która już zdążyła się zgrać. Udało mi się poznać parę osób z drugiej klasy i są oni dla nas wszystkich mili i uprzejmi.

LEGENDA OTYM, JAK POWSTAŁ LUBELSKI PLASTYK

Dawno dawno temu,

w czasach rycerskich, w odległej od stolicy wiosce rybackiej, nad rzeką Bystrycą, żyła piątka przyjaciół. Wioska była niewielka, ręk do roboty było więc mało. Jej mieszkańcy nie mieli łatwego życia, brakowało im spokoju, rozrywek i pieniędzy, bo wszystko zabierali rabusie z Tatar. Ale nawet w takich warunkach rodzą się dzieci, które mają dusze artystów. Potajemnie co wieczór uciekały one do lasu, w okolice stawów pod Zemborzycami, aby recytować swoje wiersze, czy pokazywać sobie nawzajem swoje prace.

Kotta – córka sołtysa wsi, o bardzo pięknych oczach i sercu wrażliwym na otaczający ją świat, chodząc po polach, zakochiwała się w tym co widzi. Wieczorami przelewała na papier swoje emocje, choć musiała się posługiwać prymitywnymi narzędziami. Merek to był syn głównego rybaka. Od czasów jak do snu czytano mu książki, fascynowały go ich okładki. Gdy podrósł, na korze drzew utrwał swoje pomysły. Nikt za to nie wiedział, skąd pochodzili Hęd, Alera i Kasper. Podejrzewano, iż byli z rodziny szlachciców. Wszystkich ich łączyło to, że chcieli wyruszyć w świat i nauczyć się więcej, niż potrafią i wiedzą teraz.

Pewnego wieczora stwierdzili, że gdy tylko pierwsze gwiazdy wyłonią się na niebie, ruszą w swoją podróż. Mieli zapasy jedzenia i wody oraz pewność, że sobie poradzą. Wyruszyli w świat, a ich oczy nie mogły się napatrzeć i nadziwić jego pięknu. Gdzie nie spojrzeli, widzieli piękne lasy, pola lub opuszczone posiadłości. Dzieci wędrowały dzień i noc, a każde ze szkicownikami w dłoniach.

Któregoś dnia natknęli się na niezwykłą budowlę. Był to opuszczony zamek. Miejscomi nazywali go nawiedzonym, gdyż nocami słychać było tam przerażające, nie do opisanie dźwięki. Dzieci jednak były na tyle odważne, że zdecydowały się wejść do posiadłości. Kotta wraz z Alerą zaczęły przygotowywać posiłek, a reszta chłopców szukała gałązek na małe ognisko. Budynek miał mały ogród w środku, coś jakby patio, otoczone ono było z każdej strony murami. Kilka pojedynczych drzew i opuszczonych ławek nadawały temu miejscu tajemniczego klimatu. Kasper, podchodząc do jednego drzewa, ujrzał delikatną postać człowieka, chowającą się za konarem. Jednak gdy tam zajął, postura zniknęła. Przestraszyła go ta pojawiająca się i znikająca istota, lecz próbował sobie wmówić, że to wszystko ze zmęczenia. Tamtejszej nocy tajemnicza postać pojawiła się jeszcze wiele razy także innym członkom drużyny, ale nikt nikomu nic o tym nie powiedział.

Obudziwszy się po długiej nocy, ujrzeli istotę jeszcze raz, tym razem wszyscy. Przekazała im, iż dzięki temu, że mają dobre serca i czyste dusze, otrzymają zadanie. Otóż – mają strzec zamku. Zamek bowiem nie był nawiedzony, ale nie każdy miał tu wejście, i nie każdy mógł tu się poczuć dobrze. W każdym z rogów ogromnej budowli istniał pokój, który miał nieskończony zakres zasobów, ale przeznaczone one były tylko dla tych, którzy potrafili by je wykorzystać dla dobrych celów. Czego tam nie znaleźli! Od drogich materiałów tkackich, aż po bogate w kolor farby. Dzieci przystały na propozycję i zostały w tajemnym budynku. Całe lata poświęcili na to, by szlifować swoje talenty. Przebudowali zamczysko, uczynili przytulnym i pięknym, a po latach samotności, stwierdzili, że potrzebują też innych ludzi. I zaczęli zapraszać w swoje progi wszystkich, którzy – tak jak oni kiedyś – czuli, że chcą tworzyć. A chętnych do nauki nie brakowało im nigdy. Przychodziły kolejne pokolenia, i wszyscy uczyli się od swoich mistrzów tego, co oni sami odkryli i udoskonalili.

Krąży plotka, że wszystko to się działo go lat temu.

Kto wie? Są przecież na ziemi takie miejsca, w których czas płynie zupełnie inaczej...

Wiktoria Chrostek

MIT O POWS PLASTYKA

Ramota nr 51

90-lecie ZSP w Lublinie

październik 2021

TANIU

Człowiek został stworzony z gliny, ognia i też. Muza, natchniona dokonaniem Prometeusza, postanowiła, że da człowiekowi możliwość odwzorowywania piękna. I tak to człowiek, gdy już opanował najpotrzebniejsze do przeżycia umiejętności, wiódł proste życie i skupiał się na zdobyciu jedzenia oraz miejsca do spania. Ale było mu mało i zaczęło go to nużyć. Popadł w rutynę i monotonię codzienności. Muza, widząc to, ukradkiem podarowała mu skrzynkę z gliną i narzędziami, bo chciała wyciągnąć człowieka z rutyny. Człowiek zaś, gdy znalazł skrzynkę, zaczął dłubać w kawałku gliny, co raz odkrywając nowe możliwości trzymania dłutek. Dopasowania ich do oczekiwanych kształtów i wielkości. Początkowo odwzorowywał świat, który dobrze znał – wydłubywał postaci zwierząt, ludzi i drzew. Ale z czasem zauważył, że to też jest nudne. Zaczął więc eksperymentować...

Pewnej nocy, podczas potężnej burzy, z ulewą, wichurą, błyskawicami i grzmotami, dwaj rzeźbiący w glinie mężczyźni pokłócili się o kształt dzieła, nad którym pracowali. Podczas bójki, jeden upadł i rozbił sobie głowę, z której wypłynęła brunatno-czerwona ciecz. Co to jest? Drugi mężczyzna podbiegł do ciała, brudząc sobie ręce jego krwią. Przerażony, zaczął je sobie wycierać o ścianę, tworząc przy tym chaotyczne wzory.

Ta burzliwa, krwawa noc stała się początkiem malarstwa.

Muza, widząc ludzki dramat, do którego się przyczyniła, zabrała ze sobą dzieci, aby nie patrzyły na cierpienia dorosłych, którzy przelewali krew, by tworzyć. Bo choć w sztuce cierpienie się liczy (mówimy przecież o „mękach tworzenia”), to cierpienie nie jest jej celem. Muza zabrała młodych adeptów sztuki na odległe ziemie. Ich kolejne pokolenia skupiły się wokół niewielkiej rzeki Bystrzycy, w pobliżu grodu zwanego Kozim. Potem tę nazwę zmieniono na Lublin. Tam to właśnie powstała szkoła, w której kolejnymi pokoleniami jesteśmy my.

Edyta Książkowska, Natalia Marucha

LUBELSKI PLASTYK ZA KOLEJNE 90 LAT

Wizja Patrycji Lipczyńskiej, która dwa lata czekała na swoją publikację.

W związku z wydarzeniami sprzed dziewięćdziesięciu lat, to co tu funkcjonowało owiane zostało legendą. Teraz, mając przed oczami budynek dawnego Plastyka, mówi się o ośrodku kształcącym wizjonerów, szukających rozwiązań i wspierających funkcjonowanie społeczeństwa. Teraz w tym miejscu spotykają się wszystkie dziedziny New Vision.

Jak się to odbywa? Po przyjęciu do kręgu wybranych, młodzi uczniowie, jeszcze anonimowi, wchodzą po pochyłej rampie do centrum budynku. Są oślepieni światłem, wpadającym przez krystaliczny oculus na wysokości trzeciego piętra do bryty w kształcie kropli. Jej dno wypełniają ciężkie, wykonane z afrykańskiego granitu siedzenia, wyprofilowane z najwyższą dbałością. Ich dynamiczny, choć przy pierwszym wrażeniu nierealny kształt, prowadzi spiralnie do najniższej położonego punktu, z którego przemawia do adeptów New Vision grupa prekursorów.

- Nie cieszysz się, że za dwa tygodnie nasza grupa zaczyna szkolenie parametryczne?
- Wiesz Kariachtydo... tak, bardzo się cieszę, ale kiedy zaczęliśmy zgrupowania w celu studiowania nowych form roślin...
- Uczulenie? Musisz jednak przyznać, że ten pawilon ze spiralną rampą wewnątrz pozwala na wiele, nawet na studiowanie najwyższych drzew z poziomu ich wierzchołka. Poza tym dostateś antidotum! W czym problem?

Rozmowę przerwał dźwięk delikatnych, przenikających dzwonków, które wywołały skupienie w całej palmiarni. Padły instrukcje, po ogłoszeniu których młodzi ruszyli do centralnego budynku, kierując się w stronę łącznika, złożonego ze szklanych tub. Wszyscy zgromadzili się na trzech kondygnacjach wokół stożkowej, szklanej formy, zerkając na nowoprzyjętych. Wydarzenie to odbywało się zawsze w połowie roku, aby nowicjusze mogli wdrożyć się w już unormowany system. Zresztą, co tu normować? Wakacje traktowane były jako tygodniowe przerwy, odbywające się co dwa miesiące. Oczywiście wszystko miało swoje uzasadnienie. Przyszły wizjoner żyje, jeśli tworzy. To zapewniało ciągłość. Imiona związane z pojęciami historii sztuki? Przecież znajomość historii dawała świadomość. To one pełniły funkcję przypomnienia o przeszłości i motywowały do tworzenia przyszłości.

- Nowicjusze są jak początek świata, wszystko trzeba uporządkować. Chaos obecny w ich

głowach ma tak wielki, nieznany potencjał dla Echinotusa – słuchali w skupieniu przemówień, choć przyjaciel z niepokojem spoglądał na Kariachtydę znad szkła swojego notatnika.

– Powiesz mi w końcu co Cię trapi?

– Chodźmy na zajęcia.

Po tym jak się odwrócił, K. chwyciła go za ramię. Kurtka z jednostajnym, przemysłanym reliefem, który pokrywał całe rękawy, lekko ugięta się pod naciskiem jej dłoni. Jego spojrzenie było tak przejmujące, że bez wahania poszła za nim.

Przez okna trzeciej kondygnacji budynku można było dostrzec strumień rzeki pod arkadowym przykryciem. Nad nią widniał też budynek młodych. Tak, młodych, bo stwierdzenie „uczniów” było by nie na miejscu. W dawnych szkołach, sprzed niemal stu lat, wtedy tak. Lecz według Manifestu przyświecającemu Ośrodkowi, nowicjusze mieli potencjał twórczy, który należało wesprzeć podłożem teoretycznym i praktycznym. Chodziło o fundamenty, na których wizje mogły się rozwijać, wyzwolić, a w rezultacie zmaterializować. Tam, w budynku młodych, były przeznaczone do realizacji tych celów pokoje oraz pracownie. Sala, w której się spotykali najczęściej, wydzielona była z eliptycznego piętra. Surowy beton oświetlony był światłem słonecznym, które kłóciło się i mieszało z niebieskim, nasyconym, sztucznym blaskiem świetlówek.

–Wiem jak zachowa się światło, to oczywiste. Widzisz? Spójrz na ekran. Model to pokazuje doskonale – wyjaśniał mistrz.

Ostatnie zajęcia tego dnia odbyły się na dachu. Cała grupa, która po sześciu latach intensywnej pracy była już blisko celu, czyli uzyskania tytułu wizjonera, zmierzała tam za pomocą eskalatora umieszczonego w szklanej tubie, która poprzedzała rampę Kropli i tworzyła jej oś. Forma Kropli zawsze wzbudzała zainteresowanie. Czym jest? Łzą? Jeśli tak, czyją i czym wywołaną? A może to tylko kropla deszczu, ożywiająca ziemię i budząca nowe nadzieje po tamtych tragicznych zdarzeniach?

Ujrzeni gwieździste, granatowe niebo. Zawsze budziło w nich zachwyt – to był moment, w którym mogli ujrzeć Echinotusa. Teleskop pozwalał na spotkanie z planetą, w której adaptowaniu zapewne będą uczestniczyć. Przyczynią się do stworzenia nowego środowiska dla ludzi. Każdy z nich nakreślał przeciw wizje na szklanym ekranie, pracowali nad tym na każdych zajęciach. Możliwości ekranu pozwalały na zobrazowanie niemal wszystkiego, z niebywałą precyzją obliczał on zachowanie materiału oraz światła.

Tego dnia inspirowali się migoczącą sferą, której nie sposób było osiągnąć.

Po zajęciach, gdy już tylko nieliczni mijali się korytarzami łączącymi pokoje, K. wręczyła swojemu przyjacielowi pudełko o cienkich, drewnianych ściankach. Jego jedyną ozdobą była klamra, której poztłocenie wyglądało na dość starze. Miał go nie otwierać aż do popołudnia, czyli spotkania w palmiarni.

– Zabrałeś je ze sobą? – rzuciła na niego delikatne spojrzenie.

– ...i nie otwierałem. Choć spać nie mogłem przez ciekawość...

Po otwarciu pudełka wziął do ręki jeden z przedmiotów, znajdujących się wewnątrz. Pędzel o delikatnym włosiu. Przestrzeń wewnątrz pudełka wypełniały kolorowe pola o przybrudzonych powierzchniach. Akwarele były zużyte w różnym stopniu. Dziewczyna podała mu porowatą, bawełnianą kartkę i pojemnik z wodą. Teoretycznie znał kilka sposobów malowania, ale gdy zaczął, farba rozlewała się niekontrolowanie poza wytyczone jej kontury. Jej ślady mieszały się ze sobą, dając nieprzewidywalne efekty. Róg kartki niespodziewanie pofalował się i zmarszczył pod wpływem zbyt dużej ilości wody. Nie mógł oderwać się od tego widoku. Czuł się szczęśliwy, a to było doznanie zupełnie mu obce.

A przecież w życiu jak w sztuce – nie wszystko może być z góry zaplanowane, poza tym w naturze każdego człowieka leży potrzeba spontaniczności. Czy to dziś, po go latach od powstania tej szkoły, czy za kolejne go lat, potrzeba tworzenia piękna będzie taka sama. A żywe, namacalne techniki plastyczne zawsze będą fascynować i prowokować do eksperymentów. Bo to jest właśnie twórczość.

Patrycja Lipczyńska

Z CYKLU „NAUCZYCIELE PLASTYKA”

Dziś profesor Tomasz Banaszkiewicz, z wykształcenia biolog, chemik i geograf, z zamiłowania podróżnik, odkrywca, ciekawy świata i ludzi. Przez ostatnie 3 lata nie widzieliśmy go na naszych szkolnych korytarzach, a dlaczego – o tym opowiada Szanownym Czytelnikom Ramoty.

Na początku była Tanzania

W roku mojego wyjazdu do Afryki, tj. w 2016 miałem wziąć ślub. Ale tak sobie pomyślałem, że jeśli teraz nie wyjadę, to potem już całe życie będę za czymś tęsknił. Mam mądrą żonę i ona mi powiedziała: dobrze, wyjedź do Afryki, przetożymy nasz ślub, a Ty rozwiąż tę sytuację, bo nie pójdziemy dalej, dopóki to będzie w tobie siedzieć. Przetożyliśmy więc ślub, a ja wyjechałem.

Bycie nauczycielem traktowałem od zawsze jako misję – nieść wiedzę i pomagać, zmieniać, zainteresować, kształtować człowieka. To jest piękny zawód. Z takim pozytywistycznym założeniem wybrałem go świadomie i tak go realizuję. Ale pojawiło się pytanie – gdzie mogę swoją pracę właśnie tak realizować? No tam, gdzie będę potrzebny. I wtedy pomyślałem, że najbardziej przydatny będę w Afryce. Przedtem oczywiście była bardzo długa droga przygotowania, także formacyjnie i duchowo, ponieważ wtedy jechałem do misjonarzy, do Ojców Białych, ale także dlatego, że Tanzania jest krajem bardzo niebezpiecznym, więc tam kiedy wychodzisz z domu to naprawdę nie jest pewne, że do niego wrócisz. Tanzania dała mi siłę, bo radziłem sobie w wielu różnych sytuacjach, które mogły się zakończyć nawet utratą życia, więc skoro tam sobie poradziłem, to teraz z tego doświadczenia czerpię przekonanie, że mogę stawić czoła każdej trudności. Przeżyłem Afrykę, dlatego kiedy pojechałem na wschód, to mnie już nic nie przerażało. Ale do Afryki wracam i będę wracać do końca życia, bo w tej biedzie, w slamsach i nędzy, bez wody i jedzenia,

dopiero zobaczyłem i zrozumiałem, jak można nic nie mieć. Od czasu Afryki za każdą kromkę chleba jestem wdzięczny. Gdybym nie zobaczył tego co widziałem, to myślę że miałbym inne nastawienie. Ale ja widziałem umierających z głodu i wiem, że jak w domu jest codziennie chleb i masło, to naprawdę wystarczy.

Pomysł żeby nauczać za granicą był kontynuacją moich doświadczeń z wyjazdu do Afryki. Po roku pobytu w Polsce stwierdziłem, że jest tyle miejsc na świecie, gdzie można zrobić coś dobrego i tyle miejsc, gdzie nauczyciele są potrzebni, a ja mam przecież taki piękny zawód i swoją wiedzę, umiejętno-

*Zespół Młodzieży Polskiej
z Polskiej Szkoły Średniej
im. Iły Kozakiewicz
w Rydze podczas przeglądu
Festiwalu Kultur Mniejszości
Narodowych (Ryga, 2018)*



nościami chcę dzielić się z innymi ludźmi, że znowu zacząłem szukać różnych możliwości wyjazdu. Tak znalazłem ofertę Ośrodka Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą w Warszawie skierowaną do nauczycieli, którzy chcieliby szerzyć polskość, naszą kulturę, tradycję wśród polskich mniejszości narodowych. Przeszedłem rozmowę rekrutacyjną i pierwszym krajem skierowania była Łotwa i jej stolica – Ryga. Moim marzeniem od zawsze był Kazachstan, ale żeby to mogło się zrealizować, musiałem nabrać doświadczenia w ławiejszych warunkach. Po roku w Rydze otrzymałem skierowanie na Ukrainę, do Lwowa, a trzeci rok przepracowałem w Grodnie na Białorusi, i wreszcie potem miał być Kazachstan. Ale do tego nie doszło.

Praca w polskich szkołach w krajach byłego ZSRR

Podstawowym zadaniem była nauka języka polskiego i chociaż jestem biologiem i chemikiem, to właśnie ten cel miałem realizować. Praktycznie chodziło o to, by poprzez treści swoich przedmiotów uczyć języka ojczystego. W Grodnie na Białorusi jest tylko jedna polska szkoła, z ograniczoną liczbą miejsc, ale zapotrzebowanie na nauczycieli jest naprawdę ogromne, choć przez wiele lat, do dziś zresztą też, ludzie nie mogli się oficjalnie posługiwać polszczyzną, a poczucie przynależności do Polski, czy przejawy polskości są tam ostro tłamszone. Bardzo wielu ludzi na Białorusi czuje się Polakami, ale po polsku już niewielu z nich potrafi rozmawiać. Stąd potrzeba było takich ludzi, którzy uczyliby polszczyzny od nowa, bo język to jest podstawą przynależności kulturowej człowieka. Choć na Łotwie spotkałem też rodzinę, która pochodzi z Polski, na Łotwie mieszka od XVIII wieku i przez te wszystkie stulecia, z pokolenia na pokolenie pielęgnuje polskie tradycje. Cała rodzina pięknie mówi po polsku. Pomyślałem, ile trzeba mieć w sobie siły i determinacji, żeby nie

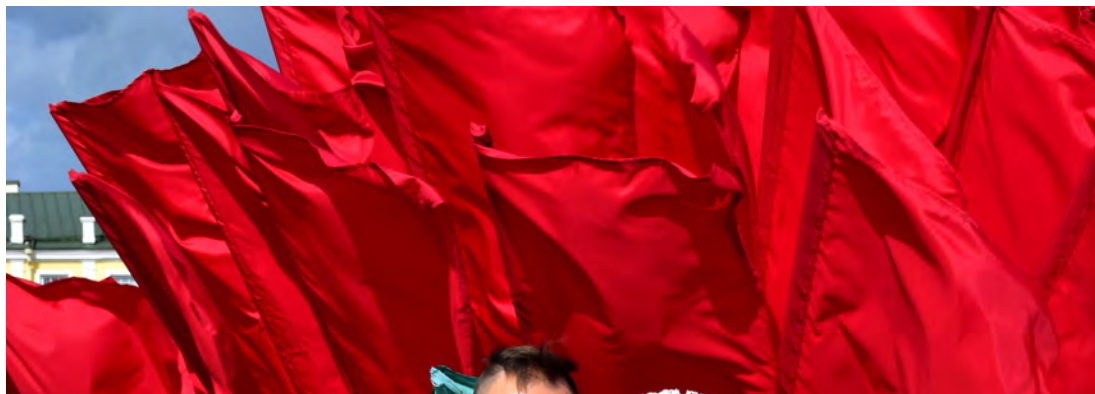
zatracić w sobie polskości, mieszkając w innym państwie. Można powiedzieć, ale to nie ma sensu – żyję na terenie innego kraju, no to nauczę się łotewskiego i będę Łotyszem, po co mam się męczyć. Ale oni tę polskość pielęgnują i nie ma na to innego wyjaśnienia, jak tylko miłość do swojej ojczyzny.

Na Łotwie, w Rydze, polska szkoła cieszy się

T. Banaszkiewicz wraz z kombatantem Stanisławem Kawalkiem podczas nagrywania wspomnień (Mościska, 2019)



opinią jednej z najlepszych szkół w mieście i uczęszczają do niej także Łotysze właśnie z tego powodu, o którym wspominałem – jakość nauczania. Wszyscy uczniowie tej szkoły poznają język polski, polskie tradycje i obyczaje, mimo że jak wspominałem duża grupa nie ma polskich korzeni. Ukończenie tej szkoły otwiera możliwość studiowania w Polsce, którą postrzegają jako kraj bardzo ciekawy. A w pracy nauczyciela za granicą chodzi właśnie o propagowanie polskości, pokazywanie naszej ojczyzny jako kraju ludzi silnych, mądrych i wartościowych. Wiadomo powszechnie, że do pracy w polskiej szkole przyjeżdżają do Rygi nauczyciele z Polski i to jest dodatkowy atut, to jest marka. W Polsce zawód nauczyciela jest poniżany a nie dowartościowywany, nie cenią nas ani uczniowie, ani rodzice, nato-



miast tutaj to jest zupełnie inne podejście do tej pracy, która przecież polega nie tylko na przekazywaniu wiedzy, ale na kształtowaniu człowieka.

Razem ze mną przyjechało do Rygi jeszcze 6 nauczycieli, to duża grupa. Co tu robiłem? Oprócz kursów językowych organizowałem też zajęcia dla uczniów, którzy wybierali się do Polski na studia, to polegało oczywiście na przygotowywaniu ich z biologii i chemii, ale też wspólnie „szlifowaliśmy” język polski.

Inny wątek to spotkanie ze świadkami historii – zwłaszcza we Lwowie, gdzie spotkałem się z ponad 40 osobami w wieku powyżej 80 lat, niektórzy z nich mieli nawet ponad 90 lat, czyli z ludźmi urodzonymi jeszcze przed II wojną na terenie Rzeczypospolitej, i którzy z pokolenia na pokolenie mieli przekazywaną miłość do Polski. Spotykałem się z nimi po to, aby uchwycić i utrwalić, zapisać najtrudniejsze momenty ich historii, gdy zostali pozbawieni ojczyzny i nigdy już do niej nie mogli powrócić.

Kolejną sprawą, którą się zajmowałem to była organizacja uroczystości, m.in. Międzynarodowy Dzień Języka Ojczyńskiego, Święto Niepodległości, świętowanie rocznicy uchwalenia Konstytucji Trzeciego Maja, Jesieńka Bożonarodzeniowe, przedstawienia wielkanocne, czyli to

Najstarsi Polacy urodzeni w obwodzie lwowskim podczas wystawy „Historie lwowskich Polaków piórem i pędzlem pisanych” (Lwów, 2019)



wszystko co się wiąże z naszą kulturą, żeby ci ludzie mogli jej też doświadczać.

A jeszcze kolejna rzecz, to organizacja konkursów, olimpiad, po to, żeby młodzież mogła przyjechać – często po raz pierwszy w życiu – do Polski, wziąć udział w letnich obozach, żeby mogli po prostu poczuć się jak w domu, jak u siebie.

Raz na wozie raz pod wozem

Najtrudniejsze rzeczy zawsze zabolą najbardziej, a u mnie taka sytuacja zdarzyła się na Białorusi, do której przyleciałem z końcem sierpnia, a po miesiącu musiałem ten kraj opuścić, bo nie dostałem zgody na dalszy pobyt, właściwie nie wiadomo dlaczego. Dostałem 2 godziny na to, żeby się spakować i wracać do Polski. Było to dla mnie bardzo przykre i bolesne, odczuwałem też całą niesprawiedliwość i bezprawie tej decyzji, bo jedyną moją winą był fakt bycia Polakiem, który przyjechał po to, by krzewić wśród rodaków kulturę naszej ojczyzny. Oczywiście zanim opuściłem Białoruś spędziłem wiele czasu na przesłuchaniach na milicji, a ponieważ Białoruś jest nadal państwem komunistycznym, to takim przesłuchaniom zawsze towarzyszy lęk i niepewność. Człowiek w takim kraju w ogóle nie wie, co władza z nim za chwilę zrobi. Inna kwestia to bariera językowa, podsuwano mi jakieś dokumenty, a ja zupełnie nie wiedziałem co w ich jest, nie chciałem ich podpisać, bo ich po prostu nie rozumiałem. Więc ta konieczność opuszczenia Białorusi i wszystko co się z tym wiąże, szczególnie przesłuchania – to było zdecydowanie najtrudniejsze doświadczenie. Po powrocie do Polski nasze władze w tej sprawie zainterweniowały i po miesiącu mogłem tu znowu wrócić, dokładnie w to samo miejsce, także ostatecznie wszystko się dobrze skończyło.

Zdziwienia...

Wyjazdy odkrywały przede mną wiele aspektów życia ludzi, wśród których zamieszkiwałem. W Rydze np. bardzo mnie zdziwił konflikt rosyjsko-toteński, a we Lwowie konflikt Rosjan i Ukraińców. Mi się jakoś zawsze wydawało, że te narody są bliskie sobie, ale tam dochodzi do dużych spięć społecznych, bo i Łotysze i Ukraińcy obawiają się agresji Rosji – mają zresztą po temu podstawy, ich obawy są historycznie mocno uzasadnione. Tak więc kiedy w sklepie w Rydze czy we Lwowie mówisz po rosyjsku, to możesz nie zostać obsłużony. Kiedy to odkryłem, to przechodziłem na język polski i kiedy mnie ktoś w ogóle nie rozumiał, to na Łotwie ratował mnie angielski, a we Lwowie uczyłem się ukraińskiego.

Na Ukrainie zdziwiło mnie, że wciąż się tu odbywają pochody nacjonalistów. Widziałem je na własne oczy, bo mieszkalem w centrum



*T. Banaszkiewicz wraz z kobietą
w tradycyjnym stroju białoruskim
podczas obchodów 75-lecia
Dni Grodna (Grodno, 2019)*

Lwowa, jak ulicami przechodziły tłumy ludzi, którzy chwałą takiego nacjonalistę ukraińskiego jak Bandera, który dla nas Polaków jest zbrodniarzem i mordercą (kto widział film „Wołyń” to widział też skutki jego działalności). Ukraińcy widzą swoją historię inaczej, a przecież historia powinna mieć obiektywne fundamenty, a nie być interpretacją. Kiedy więc mówiliśmy o rzezi wołyńskiej i jechaliśmy w miejsca mordów na Polakach, to widzieliśmy obok naszych pomników, upamiętniających ofiary tej rzezi, pomniki ukraińskie z napisami, że to Polacy wymordowali Ukraińców. Więc widziałem jak historia jest fałszowana, jak w praktyce działa dezinformacja, której skut-

kiem jest odwracanie sytuacji i zamienianie miejscami ofiar i katów, i jak łatwo wtedy ukryć zbrodnie, których się dopuszczono.

Zdziwiło mnie i to, jak kiedyś usłyszałem, że Polacy ukradli Ukraińcom piosenkę „Tylko we Lwowie”, bo to rzekomo miała być ukraińska piosenka, a nie polska. Wtedy sobie uświadamiałem jakie są skutki kłamstw, ale też jak ważna jest rola nauczyciela, który spokojnie powinien tłumaczyć, wyjaśniać i uświadamiać fakty.

Wspominałem wcześniej o Polakach bardzo świadomych swoich korzeni i kultywujących swoją polskość. Ale spotykałem także takich młodych ludzi, którzy mieli poważne zaburzenia tożsamości narodowej, bo ich przodkowie pochodzili z Białorusi, Polski czy Ukrainy,

oni obecnie mieszkali na Łotwie, ale mówili już tylko po rosyjsku. I na pytanie: kim jesteś? nie padała żadna odpowiedź, bo oni naprawdę nie wiedzieli kim są. To jest straszne, to mnie przeraziło, bo jak miałbym zbudować swoją tożsamość, jeśli nie wiem, z czego wynika jakaś moja najgłębsza podstawowość, nie wiem, kim jestem? W Polsce mamy monolit kulturowy i w zdecydowanej większości przypadków wiemy, że jesteśmy Polakami. Mama była Polką, tata był Polakiem, dziadkowie i pradiadkowie też Polacy, w ogóle nie ma wątpliwości – jestem Polakiem. Tam trudno się dziwić takim dylematom, ale łatwiej docenić fakt, że człowiek urodził się w Polsce.

Polska język – trudna język

Wśród Polaków mówiłem po polsku, podobnie jak na zajęciach, z tym, że tu słownictwa fachowego musiałem się uczyć w języku, którym posługiwali się mieszkańcy, czyli używałem słów łotewskich, rosyjskich czy ukraińskich. Sporo też uczyłem się od młodzieży, rysowałem im na tablicy rzęskę bakteryjną i pytałem co to może być, a oni mi bezbłędnie rozszyfrowali: eto budżet rzeźniczka. Bardzo dobre doświadczenie, potwierdzające, że nauka działa w dwie strony, bo i ja mogłem ich czegoś nauczyć, ale także oni mnie.

Natomiast w urzędach czy podczas zakupów mówiłem po rosyjsku, którego uczyłem się sam, najskuteczniej w bezpośrednich kontaktach z ludźmi, którzy od razu wiedzieli, że jestem „innostrāncem” czyli obcokrajowcem. Byli ciekawi skąd jestem, po co przyjechałem, co robię – a na wiadomość że z Polski, reakcje były zawsze bardzo serdeczne.

Młodzież ucząca się w Związku Polaków „Orzeł Biały” podczas Dnia Języka Polskiego (Lwów, 2019)



Na zajęcia przychodzili dzieci przedszkolne, które jeszcze nie umiały ani pisać, ani czytać, no i nie rozumiały ani słowa po polsku, kolejna grupa to dzieci z klas 1-3 podstawówki, aż po studentów i osoby dorosłe. Tak więc rozrzut wiekowy bardzo duży i trudności z tym związane były przede wszystkim wynikiem barier językowych, mój rosyjski był przecież słaby, więc praca z małymi dziećmi była dla mnie największym wyzwaniem. Ale radziłem sobie poprzez gry, zabawy, rysunki itp.

To co zapamiętam, to poczucie satysfakcji z tego co robiłem. W Polsce uczyć dokładnie tak samo jak chodzi o moje kierunkowe przedmioty, ale nie mam poczucia, że to jest tak ważne, że to co robię, jest komuś do czegoś potrzebne. Nikt nikomu nie tylko nie dziękuje, ale często nawet ma pretensje. W Polsce podejście widzę takie, że uczenie to jest zawód, twój obowiązek i łaski nie robisz, że uczysz, więc też nie ma ci za co dziękować. Nikt, albo mało kto widzi w pracy nauczyciela coś więcej. Na wschodzie – odwrotnie. Każda rzecz jaką zrobiłem, czy to lekcja, czy akademia – spotykała się z ogromną wdzięcznością. Często po wszystkich ludzi zostawali, dziękowali mówiąc, że przez chwilę przenieśli się do Polski, dzięki temu co usłyszeli, czy zobaczyli. Kilku z moich uczniów z Grodna (którzy po swoich lekcjach w szkole, 5 razy w tygodniu, codziennie, biegali na dodatkowe 3-4 lekcje biologii, chemii i języka polskiego) dostało się na studia do Polski i teraz tu studiuje różne kierunki medyczne. To była i jest dla mnie ogromna satysfakcja, nie tylko dlatego że się dostali, ale też dlatego że się odezwali, dziękowali, że piszą do mnie i okazują wdzięczność. Oni codziennie byli rzetelnie przygotowani do lekcji, nie na zasadzie robienia łaski, ale pracowali jak mrówki ze świadomością celu. To było także dla mnie niezwykle motywujące, żeby ich nie zawieść, dać tym ludziom wszystko także ze swojej strony. Podobnie jak ich rodziców, którzy mi niemal po każdych zajęciach dziękowali, że tu przyjechałem i pracuję z Polakami. Na każdym kroku dostawałem informacje, sam zresztą to widziałem, że to co robię jest ważne dla tych ludzi i że oni tego potrzebują, że tym żyją. Automatycznie moja praca mnie spełniała, stawiała się misją i widziałem jej głęboki sens.

Podczas tych wyjazdów doświadczałem różnic w rozumieniu polskości. Patrząc na młodzież, potomków Polaków z Białorusi, Ło-

*W strojach łowickich
M. i T. Banasziewicz
wraz z Dagmarą Malzubą,
kierownikiem ryskiego Zespołu
Pieśni i tańca „Polonez”
po występie w ramach
Festiwalu Kultur Mniejszości
Narodowych (Ryga, 2018)*



i tu je tańczyłem. Bardzo bym chciał także w Polsce dołączyć do takiego zespołu i także w ojczyźnie tańczyć polskie tańce narodowe.

Filiżanka...

Praca z Polakami mieszkającymi na wschodzie jest wyjątkowa, bo dostaje się od tych ludzi mnóstwo ciepła, zrozumienia i dobra. Możliwość rozmowy po polsku jest świętem. W domach bardzo często widywałem portret Piłsudskiego, rozwieszoną flagę, pamiątki z Polski przekazywane jak relikwie kolejnym pokoleniom, przywiązanie do tradycji, historii, symboli narodowych czy religii. Było to dla mnie bardzo wzruszające, bo w Polsce patriotyzm czy religijność są coraz częściej przedmiotem drwin i szyderstw, czego w ogóle nie można zrozumieć, a tam są one świętością, a trzeba też pamiętać, że za to Polakom np. na Białorusi grożą represje. Tak więc paradoksalnie to tam uczyłem się polskości, dumy z tego, że jestem Polakiem, choć przecież pojechałem po to, bym to ja jej uczył. Bardzo mocno zapadły mi słowa ludzi, z którymi rozmawiałem: „to nie my zostawiliśmy Polskę, to Polska zostawiła nas. My Polskę kochamy”. Do dziś nie pogodzili się z tym, że po zmianie granic w 1945 roku nagle znaleźli się w innym kraju,

Ukrainy, czy patrząc na dorosłych urodzonych już na terenie obcego kraju, ale ze świadomością, że są Polakami, ze wstydem zauważyłem, że tam Polacy umieją np. zatańczyć polskie tańce narodowe. Na Łotwie tak było, że tego typu elementów tradycji uczono zwyczajnie w polskiej szkole, było to w podstawie programowej. No i w takim środowisku pojawia się ja, Polak urodzony i wychowany w Polsce, i dostaję propozycję, czy mógłbym coś dla nich zatańczyć... Wstyd, który wtedy poczułem, przełożył się w konsekwencji na decyzję, żeby zapisać się do działającego w Rydze Zespołu Pieśni i Tańca i w tym zespole, przez rok, będąc wśród Polaków na Łotwie – uczyłem się polskich tańców narodowych

choć urodzili się jako Polacy i pokochali swój kraj, do dziś pięknie mówią po polsku, piszą, utożsamiają się z tradycją, obchodzą święta państwowe i kościelne, czyli są Polakami choć poza swoim krajem, a władze Polski się o nich nie upomniały. Z tymi ludźmi się po prostu siadało i płało.

Wśród nich była pewna pani, ze Lwowa, ok. 60-letnia, nawiasem mówiąc pochodziła z rodziny, która w czasie II wojny ratowała Żydów, obecnie została sama na świecie, bez rodziny i dzieci, a po babci została jej jedna, porcelanowa filiżanka. I kiedy już wracałem ze Lwowa do Polski, ta kobieta przyszła do mnie i powiedziała: może to niedużo, ale ja bym chciała dać tę filiżankę, bo to jedyne co mi zostało po babci. Kiedy umrę, ktoś inny wyrzuci ją na śmietnik, a ja bym bardzo chciała, żeby część babci wróciła do Polski. Dzięki Panu to będzie możliwe.

*W objęciach Polki
ze Lwowa Teresy
Wilczyńskiej*

Wziąłem tę filiżankę i dla mnie jest to relikwia, bo będzie mi przypominać Polaków, którzy zostali bez ojczyzny. Ta pani już nie żyje, ale przez tę filiżankę, która stoi u mnie w domu, jej historia będzie dalej trwała. Ten przedmiot, stara, porcelanowa filiżanka jest dla mnie jedną z najcenniejszych rzeczy, dużo cenniejszą niż pieniądze czy inne kosztowności i wiem na pewno, że zostanie przy mnie do końca życia.

Te wyjazdy, takie spotkania jak to, które przywołałem – a jest ono tylko jednym z wielu – spowodowały, że ja już inaczej patrzę na swoje życie, ale też na innych ludzi. Każdy człowiek jest jakąś historią... Inaczej też widzę siebie jako Polaka. Jestem po prostu wdzięczny swojemu krajowi, bo co by się w nim nie działo – to jest mój kraj. Przez świadomość jak wielu ludzi chciałoby tu żyć, mówić bez obaw po polsku, głośno śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła” i nie ponosić za to kary, przez tę świadomość doceniam, że mi to wszystko jest dane za darmo.



Religijność

Z tamtej perspektywy bardzo jasno widać, że tym co jako naród tracimy jest religijność, którą definiuję jako ufne oparcie w Bogu. Tam ludzie żyją w ucisku, pod stałą groźbą represji i dla nich żyć znaczy ufać Bogu. Nie jest to powierzchowna, ludowa religijność, tylko codzienne życie w pokornej ufności Bogu. W Polsce już tego prawie nie ma, religijność jest wyśmiewana albo budzi agresję, choć z perspektywy Polaka z Polski ten proces nie jest jakoś jaskrawo widoczny. Podobnie jak sposób myślenia, który w nas zaczyna dominować, że wszystko zależy od nas. Ale gdy patrzy się na te zjawiska z tamtej perspektywy, to kontrast jest ogromny – na wschodzie żyje się dużo skromniej i prościej jak chodzi o kwestie materialne, ale życie duchowe jest o wiele bogatsze, a życie w ogóle piękniejsze i dużo bardziej radosne.

Za tym laicyzowaniem chyba też idzie stosunek do życia i do innych ludzi – nas nie cieszy to co mamy, ciągle chce się więcej i więcej, nie interesują nas też inni ludzie i ich sprawy. A ja mam w pamięci pewną 80-lletnią panią mieszkającą na Ukrainie, która jako wyposażenie miała w domu stół i 4 krzesła oraz figurkę Matki Bożej, emerytury po przeliczeniu na polskie pieniądze 140 zł i niepełnosprawną intelektualnie córkę. Pierwszy raz poszedłem do niej z kwiatami, ale potem, widząc te warunki życia, zacząłem przynosić masło, mleko czy chleb. Miałem trochę obaw, bo pamiętałem, że w Polsce mogłem się spotkać z różnymi reakcjami na urażoną dumę. Ale tutaj nie było żadnego obruszania się typu „jak nas pan traktuje”, właśnie dlatego, że ludzie są pokorni i jeśli czegoś im brakuje, a ktoś im to daje, to biorą i są po prostu wdzięczni. Nigdy w ogóle się nie spotkałem z przejawem roszczeniowości, także wśród młodzieży, która jest skromna i zdyscyplinowana. Oni są po prostu wychowywani w postawie religijności, wdzięczności i prostoty, a Polska z czasem przejęła wzorce zachodnie i to wcale nie zawsze są wzorce dobre.

Wujek Dobra Rada...

Co bym powiedział osobom, które rozważają wyjazd na wschód? Nie bać się i podjąć ryzyko. Jeśli pojawia się w głowie marzenie, to trzeba za nim iść. Wyjazdy do innych krajów są zawsze bezcenne, bo poznaje się inne kultury,

widzi się kraj od innej strony. Co innego jest wyjechać turystycznie na wycieczkę 2–3 dni. Wtedy ten kraj można tylko zobaczyć, ale nie poznasz mentalności, ludzi, ich kultury, czyli tego co najważniejsze. A wyjechać do innego kraju, zamieszkać w nim, poczuć się częścią tej społeczności, to ta wiedza jest dopiero odkrywczą i bezcenna. Czyli iść za marzeniem, pomimo trudności, które na pewno się pojawią. Wyjazdy nauczyły mnie mądrości, zaradności i polskości, której nigdy nie doceniałem, a z której dzisiaj jestem dumny i na pewno będę to przekazywał moim dzieciom. Wyjazdy nauczyły mnie szacunku do drugiego człowieka, i że pieniądze w ogóle nie są najważniejsze. Uświadomiły mi też, jaki mam piękny zawód, i że mam dobrze wybrany zawód, bo jako nauczyciel mogę jeszcze zrobić dużo dobrego. Nie zamieniłbym tego czasu na nic innego.

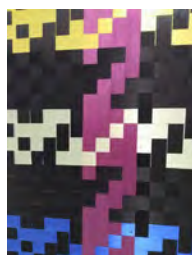
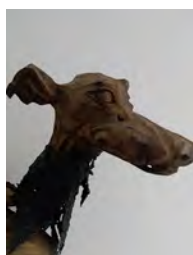
Jak bym określił jednym słowem, co mi te wyjazdy dały? Odkryłem człowieczeństwo. Rozumiem to jako odkrywanie relacji między ludźmi z różnych państw czy kontynentów, odkrywanie tego, jak wiele możemy od nich brać i jak wiele możemy im dawać. Odkrywanie jak piękną i budującą postawą jest wzajemna pomoc i zwracanie na siebie uwagi, jak ważny może być sąsiad zza płotu czy starsza samotna osoba, której nikt nie zauważa, a jak marną postawą jest tak promowany egoizm.

Marzenia?

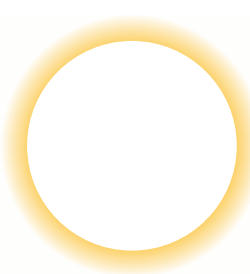
Kazachstan. Nie umrę, dopóki tego marzenia nie spełnię. Na kilka lat teraz to marzenie odkładam, ale nigdy z niego nie zrezygnuję, bo nie wyobrażam sobie, żeby moja noga nie stanęła na tamtej ziemi, i żeby nie pracował z Polakami stamtąd. Drugie marzenie to praca w szkole pod żaglami, podczas rejsu. Jest taki program dla nauczycieli, można się do niego zgłaszać. Odbywa się to tak, że nauczyciele normalnie pracują, tj. uczą młodzież, a przy okazji zdobywa się wszystkie umiejętności żeglarskie, i w ciągu pół roku doptywa się do odległych zakątków świata.

Tomasz Banaszkiewicz

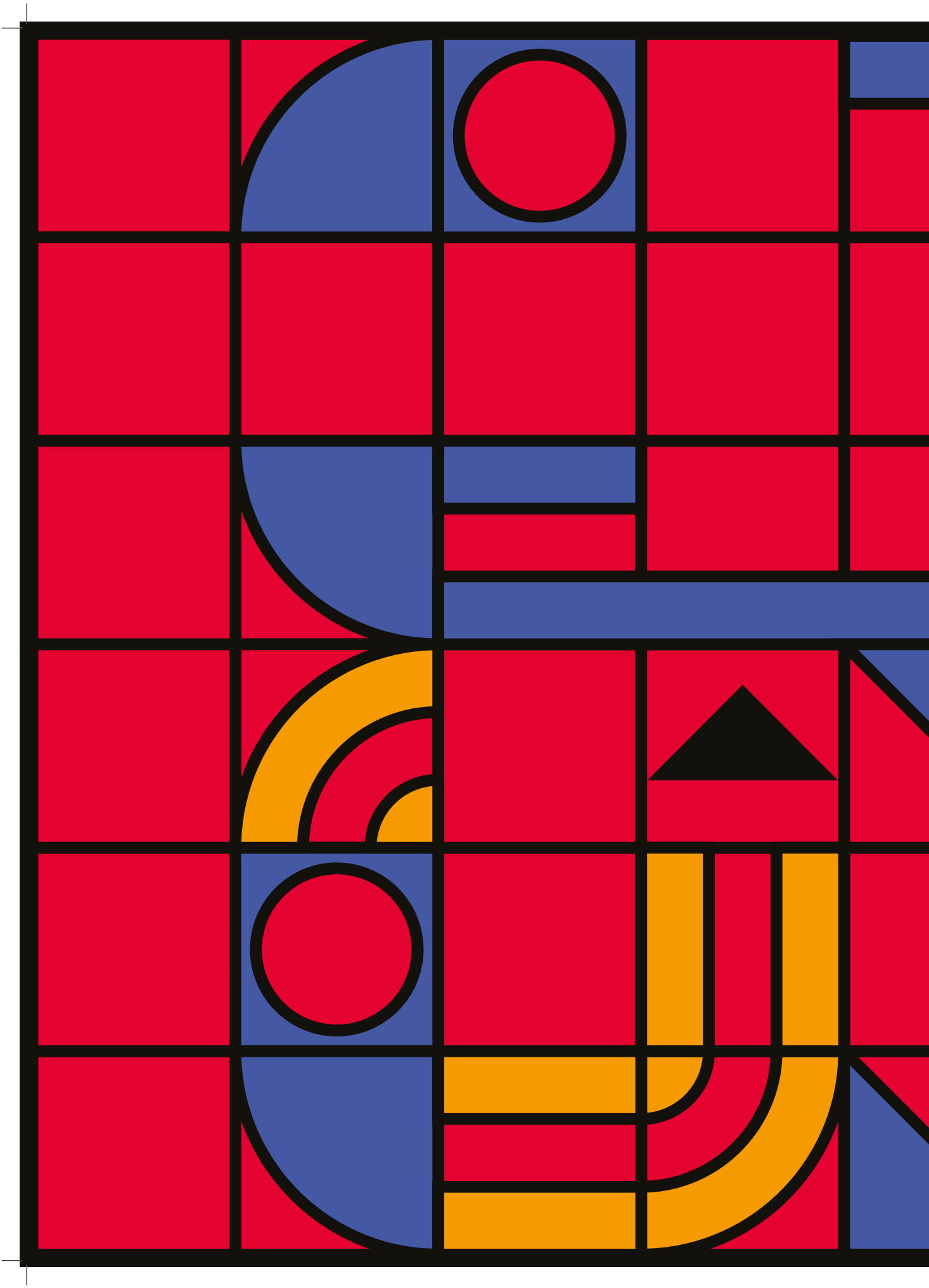
KONKURS

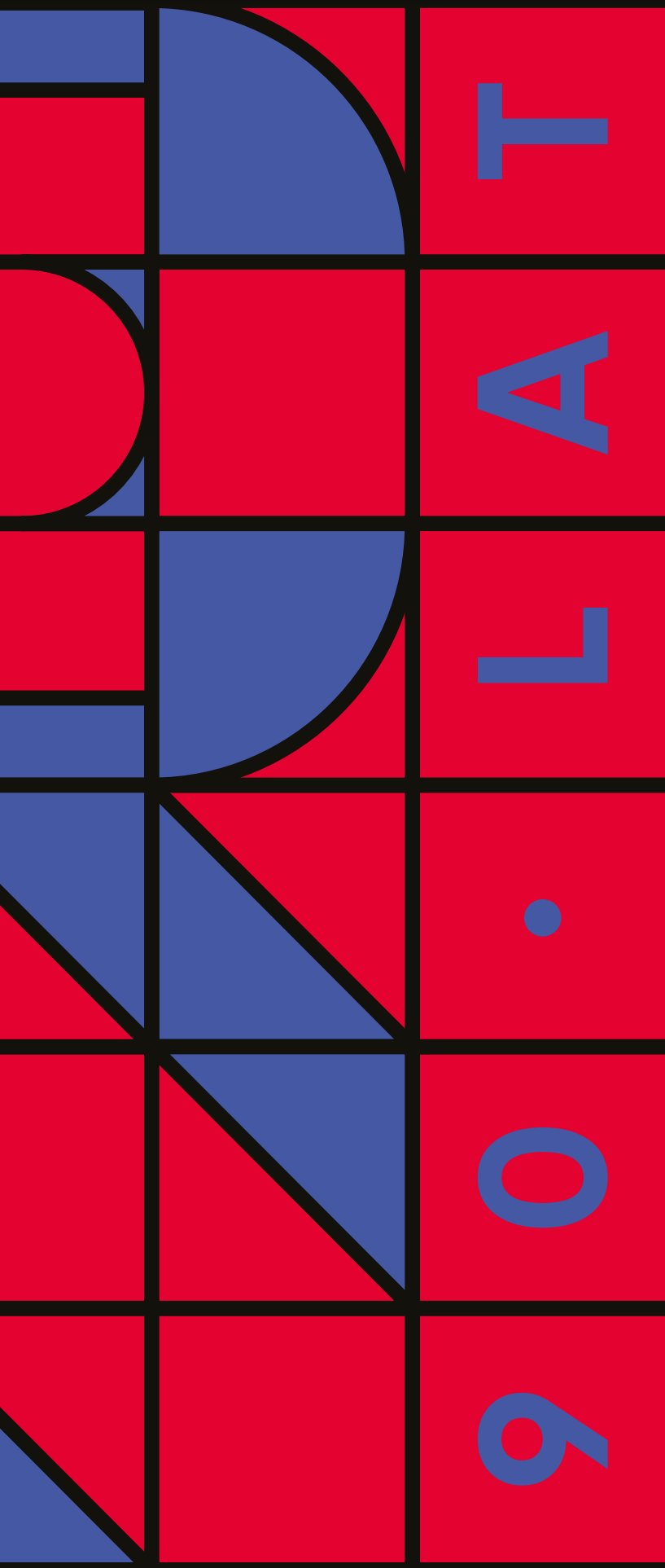


Świętujemy Jubileusz, więc na tę okoliczność mamy szybki konkurs. Rzecz polega na tym, by rozpoznać detale, fragmenty, drobne elementy przestrzeni szkoły i prac, które codziennie w biegu mijamy. Uważność i spostrzegawczość – te oto cenne przymioty chcemy kształcić u naszych Szanownych Czytelników :) Rozwiązanie konkursu w następnym numerze Ramoty.

***„nie przycho-
dzi mi do gło-
wy  żadne
piękniejsze
wspomnienie
z tego lata”***

- Wakacje minęły bardzo szybko, byłam nad jeziorem.
- Mimo kiepskiej pogody udało się zobaczyć wiele pięknych zakątków Polski. Ale w tym roku cieszę się jak nigdy z powrotu do szkoły, ponieważ zaczynam tu pierwszą klasę.
- Codziennie spałam do 10-tej i nie musiałam się uczyć. Lubię wakacje.
- A ja myślę, że w tym roku wakacje minęły zbyt szybko. Wszędzie panowała przytłaczająca atmosfera wywołana pandemią...
- Przepracowałam się i w ogóle z nikim się nie widywałam.
- Byliśmy nad morzem, zwiedzaliśmy miasto, zabytki i Muzeum II Wojny Światowej. W tym jednym miejscu można spędzić cały dzień. Polecam! Każdego rana oglądaliśmy z plaży wschód, a wieczorem zachód słońca. Teraz, gdy zaczyna się jesień, nie przychodzi mi do głowy żadne piękniejsze wspomnienie z tego lata.
- Nigdzie nie wyjechałam.
- Byłam w kilku miejscach – w Giżycku, zwiedzałam Milejów i siedziałam na schodkach w Warszawie.
- A ja pojechałam w odwiedziny do cioci i do ZOO w Zamościu.
- Byłam na obozie paintbollowym, a potem nad Bałtykiem.
- W wakacje nie podjęłam żadnej pracy, lecz zdarzyło się kilka okazji dorobić sobie pokazami tańca z ogniem na starówkach różnych naszych polskich miast.
- Na wycieczce w lesie widziałam mnóstwo zużytych husteczek po ludziach. Co to ma być??





LUBELSKIEGO PLASTYKA

Zespół Szkół Plastycznych
im. C.K. Norwida w Lublinie

Jakub Huszeluk, Dyplom 2020, Zespół Szkół Plastycznych im. C. K. Norwida w Lublinie

DRODZY UCZNIOWIE I UCZENNICE!

Zwracamy się do Was jako przedstawiciele nowego Samorządu Uczniowskiego naszej szkoły. Dnia 17.09.2021 roku, ja oraz moje drogie koleżanki, zostaliśmy przez Trójki Klasowe wybrani, aby reprezentować was – uczniów. W skład samorządu uczniowskiego na rok szkoły 2021/22, wchodzi:

Przewodnicząca szkoły – Maja Jędrejek IIIC
Viceprzewodniczące – Kamila Pochodyła IIIB
oraz Sesil Zoldyck IB
Skarbnik – Iga Serek IIIA
Sekretarz – Michał Szymaniak IIA
Opiekunem SU jest Pani Prof. Zuzanna Wyroślak

Podczas naszej kadencji chcemy zapewnić naszej szkole dobrobyt na jaki zasługuje. Jako wasi przedstawiciele chcemy godnie Was reprezentować. W tym roku szkolnym mamy parę pomysłów, które pragniemy zrealizować, pamiętamy też zesztoroczne plany SU, których przez sytuację pandemiczną nie udało się zrealizować. Nie będziemy Wam ich zdradzać, bo co to byłaby za niespodzianka, jeżeli byście się o niej dowiedzieli już na początku roku? Ale, ale! Bez Was tak naprawdę nie ma nas, więc jesteśmy otwarci na wszelkie propozycje z waszej strony. Pamiętamy – tworzymy jedną wielką społeczność, nie bójmy się podejmować dyskusji i tworzyć WSPÓLNIE.

Oprócz miłości do plastyki, wszystkich nas łączy to, że uwielbiamy gotować! Dlatego na początek postanowiliśmy podzielić się z Wami przepisem:

Wegetariańska Pasta a'la Makrełowa

Składniki:

- 1/3 kostki tofu wędzonego
- 2-3 pomidory suszone w zalewie
- 1 jajko na twardo
- 1 łyżeczka koncentratu pomidorowego
- 1 łyżeczka keczupu
- 1 łyżeczka musztardy
- 1 łyżeczka sosu sojowego
- 1/4 cebuli
- 1/4 liścia nori
- trochę oleju z suszonych pomidorów

Tofu pognieść widelcem w miseczce, cebulę, pomidory i jajko pokroić w drobną kostkę i razem z mokrymi składnikami dodać do tofu. Pokruszyć liść nori i wszystko razem wymieszać. W razie potrzeby doprawić do smaku :))

Sekretarz SU – Michał wraz z całym SU

TEN GŁOS I TE OCZY ZOSTAŁY

Imię i nazwisko: **Andrzej Mazuś**

Matura: 1983

Wychowawca: prof. Adela Adamczyk

Teraz mamy specjalizacje, a w czasach kiedy ja byłem uczniem, nazywały się one głównym przedmiotem zawodowym, tzw. GPZ. Pani prof. Adela Adamczyk była i moją wychowawczynią, i nauczycielem malarstwa, u niej też robiłem dyplom. Pracowała w tej szkole 33 lata i pamiętam ją jako niezwykle wymagającą, ale też pełną energii i dobrą. Przychodzi mi do głowy prosty przykład – to były lata 80., siermiężna komuna, dostęp do artykułów plastycznych praktycznie żaden. Jak się chciało mieć dobre farby, można je było dostać wyłącznie przy ul. Kotłątaja, w sklepie Polskiego Związku Artystów Plastyków. Ale żeby można tam było coś kupić, trzeba było należeć do tego związku. Dla ucznia to przecież rzecz zupełnie nieosiągalna! Więc Pani profesor pożyczła mi swoją legitymację członkowską i w ten sposób mogłem sobie kupować wszystkie potrzebne (i dobrej jakości) farby czy inne artykuły. Było to dla mnie ogromne wyróżnienie i nobilitacja, wiedziałem, że ona mi zaufała. Dziś ten rodzaj



zaufania w relacji uczeń/nauczyciel i odwrotnie jest już chyba rzadkością... Ale taka właśnie była pani profesor, po prostu uważała, że właśnie tak trzeba. Ten sklep przy ul. Kotłątaja jest do dziś, całe szczęście obecnie już otwarty dla wszystkich.

8 października, czyli bardzo niedawno, mieliśmy w szkole wernisaż wystawy Pani Profesor. Kupiłem kwiaty i z mocno bijącym sercem przyszedłem na wernisaż. Mieliśmy się zobaczyć pierwszy raz, od kiedy skończyłem tę szkołę, więc było to dla mnie ogromne przeżycie, trochę się nawet chyba bałem tego spotkania. Pamiętałem ją jako osobę dobrze zbudowaną, energiczną, uśmiechniętą i radosną – a zobaczyłem drobnutką kobietę, siedzącą na wózku inwalidzkim, trochę zagubioną, trochę wystraszoną całą sytuacją... Ale kiedy podszedłem i się przedstawiłem, po chwili zastanowienia, wykrzyknęła: „Mazuś! No przecież, że Cię pamiętam!”. I głośno się zaśmiała. Ten jej głos i te oczy zostały.

Co bym powiedział następnym pokoleniom uczniów tej szkoły? Bardzo bym chciał, żeby ta szkoła się nie zmieniła, choć widzę, że obecna młodzież jest już zupełnie inna, że to jest pokolenie smartfonów, może też innego systemu wartości...? Ale uważam, że takie miejsce jak nasz Plastyk to jest coś więcej niż tylko kursy sprawności w technikach plastycznych. Ta szkoła w gruncie rzeczy zawsze stała na relacjach, tradycjach, na naszych niepowtarzalnych rytuałach – że wspomnę plenery, rejsy, sptywy, wyjazdy na narty – właśnie tego ducha nigdy bym nie chciał zmienić.



30-lecie szkoły, 1979.

Nagrodę Ministra Oświaty
i Wychowania otrzymują
Adela Adamczyk i Maciej Bijas



Wernisaż wystawy
malarstwa Adeli Adamczyk,
8 października 2021.
Adela Adamczyk
z Andrzejem Mazusem

Jest też druga sprawa, o której chcę powiedzieć. Może zabrzmieć to jak banał, ale w kontekście chorób wielu naszych kolegów nauczycieli, rówieśników, ale i młodszych, trudno nie mieć refleksji, że nie jesteśmy wieczni. Wiem, że w pewnym wieku trudno w to uwierzyć. Do tego trzeba się jednak powoli przygotowywać – nie jesteśmy wieczni.

Imię i nazwisko: **Anna Chmielnik**

Matura: 1998

Ulubiony przedmiot: Rysunek i malarstwo

Wychowawca: Irmina Kozaczyńska – doskonała nauczycielka, wymagająca, świetnie zorganizowana i pełna energii. Wystarczyło, że zmarszczyła brew i byliśmy potulni jak baranki. Dbała o to, byśmy poszerzali horyzonty – zabierała nas na niezapomniane wycieczki do Paryża i w Bieszczady.

Pamiętam solidarność koleżeńską w obliczu wyzwań stawianych nam przez nauczycieli. W pierwszej klasie profesor Paluch zalewał nas monotonnymi ćwiczeniami, polegającymi na kreśleniu tuszem na papierze milimetrycznym szeregów kreseczek w różnych konfiguracjach. Wspecjalizowałam się w tym zadaniu i produkowałam kartki na zaliczenie również dla moich mniej cierpliwych kolegów. W zamian za to oni pomagali mi przepisywać i uzupełniać zeszyt do historii sztuki, kiedy go zgubiłam.

Powstało interesujące dzieło sztuki patchworkowej, niedocenione niestety przez profesora Dąbka :)

Przeglądy semestralne z rysunku i malarstwa były dla nas powodem do wielkiej mobilizacji. Kiedy okazało się w przeddzień przeglądu, że prace jednej z moich koleżanek przez przypadek zostały wywiezione do Dębina przez inną (w pożyczonym plecaku), zorganizowaliśmy akcję ratunkową. Drużyna trzech osób podjęła nocną bohaterską (i nielegalną) wyprawę pociągami, aby odzyskać prace. O świcie zapukaliśmy do domu zaskoczonych koleżanek, sprawnie przejęliśmy teczkę i wróciliśmy do Lublina. Zdążyliśmy nawet znaleźć się w łózkach w bursie tuż przed pobudką.

W moim odczuciu szkoła pozostawiała wiele przestrzeni na poszukiwania twórcze. Wiedziałam, że mogę swobodnie eksperymentować z pomysłami na obrazy oraz zrealizować dość kontrowersyjną pracę dyplomową, a moi profesorowie (p. Orzechowska, p. Szymankiewicz, p. Bijas i p. Wereński) będą mnie wspierać. Ich życzliwość oraz rzeczowe korekty były niezwykle pomocne dla młodych, kształtujących się dopiero twórców.

Kreatywność uczniów przejawiała się również w ich strojach. Ponieważ lata 90. nie rozpieszczały tak różnorodnym zaopatrzeniem sklepów jak obecnie, część ubrań produkowałyśmy z koleżankami samodzielnie. T-shirty pomalowane akrylami, wydziergane na dru-



tach swetry, czapki i szaliki, kapelusze utkane z sizalowego sznurka lub uszyte z zasłon, farbowane w wielkich garnkach sukienki, spodnie dzwony przerobione z dżinsów, z klinami z kolorowych ręczników. Było naprawdę kolorowo.

Wciąż przyjaźnię się z niektórymi osobami z mojej klasy. Niektóre z nich są artystami, niektóre wykładowcami na uczelniach lub wydziałach artystycznych. Jedna z nich jest moim mężem.

Życzę przyszłym uczniom, aby szkoła, w której będą się uczyć, była przestrzenią otwartą na poszukiwania artystyczne, barwną, inspirującą i motywującą.

Imię i nazwisko: **Grzegorz Tomczyk**

Matura rocznik: 1996

Ulubiony przedmiot: Rysunek i malarstwo

Wychowawca: Waldemar Arbaczewski – człowiek, który potrafił spowolnić czas. Siłą woli 45 minutową godzinę wychowawczą mógł wydłużyć w nieskończoność. Jak było trzeba wyciągał nas za uszy z błota, chyba tylko dzięki niemu na 30 osób w klasie aż 28 doszło do matury, co w tamtych czasach było nie lada wyczynem.

Jakie zdarzenie (Śmieszne? Smutne?) z lat spędzonych w lubelskim plastyku szczególnie utkwiło w Pani/Pana pamięci?

Utkwiło mi bardzo dużo pozytywnych i śmiesznych wspomnień, miałem bardzo zgraną klasę, niestety prawie wszystkie nie nadają się do publikacji. Nie byłem ideałem ucznia jak i większość moich kolegów i koleżanek ze szkoły. Smutnych wspomnień nie pamiętam, może



poza jednym kiedy po powrocie ze wspólnego pleneru, dowiedzieliśmy się o śmierci pana profesora Mieczysława Kosowskiego.

Gdy myślę „mój plastyk” z czasów gdy byłem uczniem tej szkoły, a obecnie

Czasy były inne, więc i szkoła była inna. Uczniowie byli bardziej samodzielni, mam wrażenie, że w przypadku niektórych przedmiotów uczyliśmy się sami od siebie. Zawód nauczyciela cieszył się większym szacunkiem i prestiżem. Szkoła była miejscem, do którego chciałeś przyjść, w którym zawsze drzwi stały otworem, a nie więzieniem zamkniętym na klucz i kontrolowanym kamerą. Z perspektywy czasu mam wrażenie, że byliśmy ostatnim pokoleniem, które uczyło się w momencie między „offline” a „online” („przed” internetem i „po” internecie), obserwowaliśmy związane z tym wszystkim zmiany społeczne, dlatego mój punkt widzenia jest być może tak krytyczny.

Co się stało z naszą klasą... – czy Pani/Pana szkolne przyjaźnie przetrwały? Proszę o nich opowiedzieć

Mam regularny kontakt z moimi kolegami i koleżankami z klasy. Dzięki mediom społecznościowym łatwiej takie kontakty utrzymywać. Oczywiście silniejszą więź z moją grupą – grupą snycerską. Mimo tego, że niektóre osoby trochę się rozjechały po świecie, staramy się spotykać regularnie.

Plastyk za kolejne go lat, czyli czego życzyć przyszłym pokoleniom?

Nie potrafię sobie wyobrazić jak mógłby wyglądać „mój plastyk” za go lat. Chyba najpierw trzeba by się zastanowić, jak będzie wyglądał świat za go lat. Jestem raczej pesymistą, mam wątpliwości czy ludzkość zmierza we właściwym kierunku, natomiast wierzę w młodych ludzi, których uczę. Wierzę, że nowe pokolenia zrobią wszystko co należy i zostawią świat lepszy niż ten, który zastali, ten który im zostawiliśmy. Życzę im tego.

Imię i nazwisko: **Zuzanna Wyroślak**

Matura rocznik: 2010

Ulubiony przedmiot: Angielski i reklama wizualna

Wychowawca: Pani Teresa Dąbek

Nauczyciel którego pamiętam:

Kiedy wracam myślami do swoich wspomnień z tej drugiej strony biurka nauczycielskiego, z przyjemnością przypominam sobie to, w jaki sposób ja widziałam nauczycieli. Myślę, że wszystko, co od nich otrzymałam, od ciepłych słów, poprzez żarty, aż po zastróżoną jedynekę wpłynęło na to, kim dzisiaj jestem. Wciąż służę mi radą i pomocą! I każdego dnia jestem im za to bardzo wdzięczna. Nie wyobrażam sobie jednak wrócić do swoich uczniowskich lat, nie wspominając Pana Profesora Piotra Panasewicza. Nasz nauczyciel języka polskiego z pasją opowiadał o kolejnych epokach literackich, uczył nas szacunku do historii i do Polski. Potrafił nieustrudzenie motywować nas do własnych przemyśleń i zadawał pytania, które wracają do mnie do dziś. Może niewielu pamięta, ale cechowało go też duże poczucie humoru! Pan Profesor nauczył mnie tylu rzeczy, że nie sposób wszystkie wymienić, ale pamiętam jak bardzo się ucieszył, kiedy przyszedłam do szkoły na swoje pierwsze praktyki i wyznałam, że chciałybyśmy uczyć. Musiał już iść na lekcje, ale powiedział: „Kto wie, może kiedyś staniemy obok siebie na rozpoczęciu roku szkolnego?”. Nie było nam dane, ale co roku, kiedy pierwszego września słyszę „Baczność! Proszę o wprowadzenie sztandaru szkoły!” czuję, że jest bardzo niedaleko.

Zdarzenie które szczególnie utkwiło mi w pamięci:

Nie wiem, które wybrać! Tyle ich jest! Obecnie jednak wraca do mnie wspomnienie pielgrzymki maturzystów do Częstochowy, na którą mieliśmy wziąć świece i latarenki, żeby wieczorem uczestniczyć w drodze krzyżowej. Troje kolegów zapomniało, że mieli zabrać ze sobą taki ekwipunek, więc na szybko przeliczyli fundusze i kupili w kiosku... zielony miecz świetlny. Do dziś pamiętam ich miny, nie jestem tylko pewna, czy bardziej przypominali uduchowionych maturzystów, czy adeptów sztuki Jedi.

Gdy myślę „mój plastik”...:

Co roku słyszę od starszych klas „kiedyś to był Plastik, teraz już nie ma tego klimatu” i przyznaję, że sama tak mówiłam, kiedy w ostatniej klasie wspominałam maturzystów, których widziałam jako gimnazjalny pierwszak. Prawda jednak jest taka, że może zmieniają się mody, ale duch szkoły jest wciąż ten sam! Kiedy przyszedłam tu w roku 2004, Pan Dyrektor, Andrzej



Krasowski witając klasy pierwsze powiedział „Pamiętajcie, że jesteście młodzieżą elitarną, jesteście młodzieżą wybraną”. I faktycznie – tacy jesteśmy. Coś pięknego nas łączy – sztuka. Często dopiero tutaj trafiamy na pokrewne dusze, tak jakbyśmy wrócili na swoją planetę. I myślę, że ten twórczy aspekt tworzy atmosferę, która pozostanie z nami na długie lata.

Co się stało z naszą klasą? Czy szkolne przyjaźnie przetrwały?(swoją drogą, co za piękna piosenka, pan Kaczmarek umiał poruszyć struny w człowieku!)

Pewnie, że przetrwały! Całkiem niedawno zabawiałam grzechotką malutką córeczkę dwojga najbliższych przyjaciół z ławki (śliczna! A jak mądrze patrzy!), a pod koniec sierpnia byłam na ślubie jeszcze innej bliskiej przyjaciółki, której świadcowała kolejna. Ja, O., E. i Z. siedzieliśmy we cztery w ławce wiele lat (przy czym O. zawsze wybierała miejsce najbliżej kaloryfera i uważnie śledziła to, w której sali jak grzeje). Ostatnio pewne wydarzenie sprawiło, że znów wszyscy mogliśmy porozmawiać. Wydarzenie było smutne, ale cudowne jest to, że nawet po tylu latach wciąż mamy wrażenie, jakbyśmy zaledwie przed chwilą wyszli z ostatniej lekcji matematyki (wielu wciąż pamięta, jak obliczyć deltę i wzory skróconego mnożenia, co z resztą niedawno sprawdziliśmy)! Jesteśmy wszędzie i robimy wszystko – tworzymy, uczymy, pomagamy; mamy własne domy, rodziny, samochody... Przyszliśmy tutaj mali i obcy, a jednak po tylu latach czujemy się trochę jak rodzeństwo.

Czego życzyć następnym pokoleniom?

Świat Was potrzebuje! To Wy tworzycie kulturę, Wy wzruszacie w muzeach i galeriach, to Wy zadajecie pytania, których boją się zadać inni. Pamiętajcie jednak, że czynicie też świat piękniejszym na mniej oczywiste sposoby. Może zaprojektujecie kartkę, którą ktoś da osobie, o której wszyscy zapomnieli w urodziny? Może Wasza tkanina zawiśnie w pierwszym mieszkanku młodej pary? Może zaprojektujecie wnętrze marzeń dla kogoś, kto ciężko pracował na swój dom? Może wyrzeźbioną przez Was statuetkę dostanie ktoś, kto swojej dziedzinie poświęcił całe życie? Lubię myśleć o tych wszystkich ludziach, których „dotknęliśmy” swoją sztuką, a nawet o nich nie wiemy. Wy też o nich nie zapominajcie i nie aspirujcie tylko do Wielkiej Sztuki. Ta mała też może odmienić bieg wydarzeń.

Imię i nazwisko: **Małgorzata Kierczuk**

Matura rocznik: 1991

Ulubiony przedmiot: Malarstwo z p. Orzechowską

Wychowawca: Jan Małek (jedyna klasa, jaką mu powierzono)

Obraz: opozycjonista – wycieczkowicz. Od lat 80. XX w. wielokrotnie jeździł do Chatki Studenckiej Pietraszonka koło Istebnej i Baraniej Góry w Beskidzie Śląskim. Rokrocznie zbierał grupę tych samych 5-6 osób (należałam do tegoż wąskiego grona) i wyruszaliśmy pociągiem nocnym do Katowic, aby tylko... nie uczestniczyć w obowiązkowym wówczas pochodzie pierwszomajowym. W 1986 lub '87 roku, na moim pierwszym wyjeździe z p. Małkiem, poznałam smak piwa. Byliśmy pokoleniem braków i opakowań zastępczych, z wiecznym niedoborem zaopatrzenia w sklepach. A tu, w górach, w każdym sklepie GS-u, stał „Żywiec Export”. Jako młodzież nieobyta w temacie, zostaliśmy poinformowani przez wychowawcę, że ów produkt jest niedostępnym gdzieindziej rarytasem, którego należy spróbować. Co więcej – zakupić kilka butelek i zawieźć w darze dla rodziny! Tak też czyniliśmy jako grzeczne i słuchające się Pana dzieci... Ale prawdziwą udręką dla nas było zamiłowanie pana Małka do „chodzenia na skróty”. Wydłużenie każdego odcinka drogi co najmniej dwukrotnie mieliśmy gwarantowane! Oczywiście jest, że kierunkiem wycieczek klasowych także była Pietraszonka...

Jakie zdarzenia z lat szkolnych szczególnie utkwiło mi w pamięci?

1. Wystąpienie dyrektora Andrzeja Krasowskiego na jednej z licznych akademii ku czci, na której życzył nam „abyśmy zostali twórcami, takimi przez duże TWFU...”. I w tym miejscu

jego natchnioną perorę przerwał gwałtowny wybuch śmiechu publiczności. Mówca, stracił wątek i sprawiał wrażenie jakby go właśnie brutalnie wybudzono ze snu...

2. W szkole stała naturalnej wielkości rzeźba kozy, wykonana techniką narzutu (metalowo-druciana konstrukcja, oblepiona pieluchami i sznurkiem do snopowiązałki, zanurzonymi w gipsie). Owo uczniowskie ćwiczenie rzeźbiarskie, nie grzeszące specjalnie urodą, zostało któregoś dnia podciągnięte przez nieznanego sprawcę pod drzwi sali 54. Zebrane na korytarzu grono uczniowskie liczyło na możliwie dramatyczny rozwój wypadków. Jakież było rozczarowanie, kiedy prof. Irmina Kozaczyńska w lot odczytała intencję, włożyła dziennik pod pachę, chwyciła zwierzę za niekształtne rogi i zaczęła wciągać sporo ważącą rzeźbę do sali, dziękując za spersonalizowany dla niej prezent. Zamiast spodziewanej furii był śmiech. Jeśli się nie mylę, koza trochę postała w klasie do francuskiego, po czym wróciła na korytarz, aż w końcu dramatycznie nadgryziona zębem czasu, trafiła na śmietnik.

3. Wartością samą w sobie były zajęcia z p. Orzechowską, która udzielała bardzo konkretnych korekt, a podczas 4 godzin pracy potrafiła snuć barwne opowieści z okresu studiów, które stanowiły dodatkowy impuls do pracy. Po prostu – każdy chciał zaznać TAKIEGO życia studenckiego na ASP.

4. W latach 1986-91 na warsztaty przychodziły dwie „drużyny” chłopaków (niezależnie od specjalizacji). Członkowie jednej po godzinach wyrzynali w drewnie „wiosła”, czyli korpusy gitar basowych. Przecież wtedy każdy chciał grać! Druga drużyna stale dłubała przy tódce, która należała do szkolnego kółka żeglarskiego, utworzonego przez rzeźbiarza Jana Marię Marka.

5. Raz na snycerkę przywieziono duży pień, chyba topoli, rosnącej przy wychodku. Z koreniami systematycznie wciągała jego zawartość i to był jedyny pień, który chyba ponad rok musiał leżakować na tzw. świeżym powietrzu, zanim ktokolwiek mógł do niego podejść.

6. W ciepłe dni cała szkoła wylegała na schody przed budynkiem. Leżąc niczym koty grzejące się w promieniach słońca, słuchaliśmy jak sąsiedzi muzycy piłują na swoich instrumentach. Wtedy przyszło mi do głowy, że gdybyśmy pracowali choćby w 70% procentach jak oni, to na tych schodach leżeliby sami plastyczni geniusze...



Plastyk w czasach gdy byłem uczniem a obecnie?

z połowa lat 80. XX w. była naznaczona post socjalistyczną biedą i utrudnionym dostępem do wszystkiego. Jeśli niczego nie było, tym bardziej chciało się nam pracować, kształcić. Ludziom chciało się przychodzić w soboty do pracowni plastycznych, które do godz. 16.00 stały dla chętnych otworem. Z tamtych lat zapamiętałam poczucie swobody, większego zaufania do uczniów niż obecnie. Przy minimalnej „papierologii” wszystko funkcjonowało bez problemów. Uczniowie bez tak skrupulatnego nadzoru kadry, sami się pilnowali, by nie zawieść zaufania nauczycieli. Oferowana swoboda wzbudzała w nas poczucie odpowiedzialności...

Byliśmy ciekawi wszystkiego, co było związane ze sztuką – należało bywać na każdym wernisażu, oglądać wystawy, a jak ktoś zdobył album o sztuce czy katalog, książka była przez wszystkich wertowana po wielokroć.

Imię i nazwisko: **Wojciech Koryciński**

Matura rocznik: 1999

Wychowawca: Izabela Matyaszevska, Alicja Kuśmierczyk

Pamiętam, że zawsze z radością tu przychodziłem. We wszystko co się działo, bardzo chciałem się angażować. A działo się sporo. Było kółko teatralne, prowadzone przez charyzmatycznego prof. Piotra Kurkowskiego. On był polonistą, ale też absolwentem tej szkoły. Na co dzień cichy i nawet nieśmiały, ożywał na tych próbach, jakby coś w niego wstępowało! Niestety po jakimś czasie uznał, że zawód nauczyciela jednak nie jest dla niego i ostatecznie po dwóch latach pracy – odszedł.

Zachwycały mnie liczne pasje naszych nauczycieli – nr 1 to jest oczywiście prof. Jan Marek i jego żaglówki, na które zabierał młodzież, by przez kilka tygodni wspólnie pływać „Matym Księciem”. Prof. Jerzy Kozera i jego zespół muzyczny! Albo prof. Waldemar Figiel i jego myślistwo, czy bardzo młody wówczas prof. Kijewski, który robił wrażenie ogólne :)

Miałem szczęście, bo trafiłem do szkoły, gdzie uczyła nas nietuzinkowa kadra nauczycielska, ale miałem też szczęście poznać ciekawych rówieśników. Mnóstwo czasu spędzaliśmy na warsztatach, robiąc jakieś dodatkowe prace, albo przygotowując dekoracje, w okienkach wertowaliśmy albumy o sztuce w szkolnej bibliotece, a wiosną na przerwach siedzieliśmy całą klasą na schodach przed szkołą, obok trójgłowego, drewnianego smoka. Chyba w 1999 udało się nam ściągnąć do szkoły zespół 2TM2,3, który wówczas był na topie i zagrali dla nas koncert w ramach rekolekcji wielkopostnych.

Spędziłem tu wiele pięknych lat. I nigdy nie pomyślałem o tym miejscu inaczej, niż „moja szkoła”.



NAUCZYCIEL/E KTÓREGO/KTÓRYCH PAMIĘTAM W SPOSÓB WYJĄTKOWY:



38

Ramota nr 51

90-lecie ZSP w Lublinie

październik 2021

Pytanie kierowane do byłego ucznia, a potem, do wieloletniego nauczyciela, może mieć dwie odpowiedzi: nauczyciel, którego pamiętam jako uczeń, ale też nauczyciel, jako kolega z pracy – w kontekście tego pytania – już poza naszym środowiskiem, nawet już nieżyjący. Dziś o tych pierwszych.

Miałem to szczęście, że jako uczeń w latach 1976–1981 trafiłem na pokoleniową zmianę nauczycieli, którzy zostali zatrudnieni w szkole w czasach tzw. późnego PRL, będąc wychowankami warszawskiej i krakowskiej Akademii oraz wrocławskiej PWSSP. Niektórzy byli wcześniej uczniami naszej szkoły, ale najistotniejsze było to, że ich studia przypadły na pierwszą poł. lat 70-tych, w którym to czasie dało się odczuć powiew gierkowskiego otwarcia na świat, co skutkowało zachęceniem się najnowszymi – wtedy – tendencjami w sztuce: happeningiem, konceptualizmem, hiperrealizmem. Był to łabędzi śpiew sztuki lat 60-tych, czasu optymizmu i nienasyconej żądzy świata i nowości. Kryzys punka, Nowych dzikich i stanu wojennego dopiero miał przyjść. Jednocześnie w akademiach nauczali także swoiste „kotwice” klasycznej awangardy i bezpośredni spadkobiercy wielkich osobowości polskiej sztuki czasów powojennych, co dawało wielce pożądany efekt fermentu wykluwającego się w dialogu pokoleń. Oczywiście w tamtym czasie, nic z tego nie było mi wiadome, dopiero z pewnej perspektywy mogę taki obraz nakreślić. Generalnie były to bardzo emocjonujące czasy, pełne ruchu, pomimo skostnienia komunistycznego PRL-u. Młodzi ludzie byli niezmiernie ciekawi otwierających się widoków wielkiego świata, które ukazywały się zza wąskich szczelin, uchylonych czasem bezwiednie, w różnych miejscach żelaznej kurtyny. Tacy też byli nasi młodzi nauczyciele: Jan Maria Marek, Grażyna Orzechowska, Andrzej Cwalina, Grzegorz Olik. Dla nas, uczniów, którzy przyszli w PRL-owskich podstawówek, które kojarzą się dziś z tępą fasadowością jedyne go słusznego systemu „wiecznej przyjaźni z Wielkim Bratem”, czymś zupełnie nowym było spotkanie nauczyciela niewiele starszego od nas, bliskiego mentalnie w swojej młodości żywołotowości, ale przecież trochę (nie za wiele jednak) bardziej doświadczonego. Jednak spośród nauczycieli czasu mojej nauki najbardziej w pamięci pozostali mi trzej pedagodzy, którzy w późniejszym

czasie nie zostali kolegami z pracy, lub byli bardzo krótko.

Pierwszą osobą była p. dyrektor Halina Lipska, budząca postrach nie tylko wśród uczniów, drobna polonistka – na nielicznych lekcjach (bardzo często wtedy już chorowała) delikatnie przemykająca pomiędzy ławkami, przy których siedzieli struchlali ze strachu uczniowie. Cichym głosem zadawała pytania, delikatnie dotykając ramion siedzących kolegów wywoływanych do odpowiedzi. Wydawało się, że nie sposób było znaleźć właściwej frazy, która mogła być satysfakcjonująca, przez co stawiała się kimś w rodzaju bezlitosnego egzekutora naszej niewiedzy lub nieudolności. Należy pamiętać, że łatwo było wówczas „wylecieć” ze szkoły na skutek złych ocen.

A jednak pamiętam, że udało się znaleźć delikatną nić porozumienia, która ujawniła zakopaną pod powierzchnią surowej biurokratki wiernej systemowi (za taką uchodziła), delikatność i niezwykłą otwartość na inny wymiar literatury, a więc także opisu świata, niż ten do jakiego nas przyzwyczaiła w swojej nauczycielskiej rutynie. Lista lektur i podręczniki służyły w tamtym okresie wiadomym celom, dlatego chcąc dowiedzieć się o literaturze, czy szerzej – o krążących ideach, innym opisie rzeczywistości – trzeba było często samemu na boku grzebać. Pomocną była „Literatura na świecie”, lub – w moim przypadku „Biblioteka Laureatów Nagrody Nobla” (oczywiście w literaturze). Dzięki nim czytywałem pisarzy obecnych wtedy raczej w innym obiegu kultury: Patricka White, Alejo Carpentiera i innych pisarzy iberoamerykańskich, z obowiązkowym wtedy Marquezem („Sto lat samotności”), ale także Jamesa Joyce’a. I właśnie dzięki przypadkowej rozmowie z p. Lipską, otrzymałem od niej małą bibliografię polskich wydań Joyce’a, z obowiązkowym „Portretem artysty z czasów młodości”, który stał się dla mnie (obok „Voss’a” P. White) jedną z najważniejszych książek w tym czasie. Może w ogóle, ze względu na wstrząsające wielkopostne kazanie jezuita, napisane przez ateistę i deprawatora. I to dzięki pani Halinie. Potem, nie za długo potem, ostatnie spotkanie przy jej tóżku w domu, gdy już nie mogła wychodzić, przyjęła nas – grupkę maturzystów – jakże ciepło i serdecznie. Jest pochowana na cmentarzu przy ul. Lipowej. Drugą osobą, która była dla mnie ważną w czasie przyspieszonego zbierania i – co tu

dużo mówić – wręcz zachłystywanie się „wieściami ze świata”, był ś.p. tragicznie zmarły Mieczysław Kosowski. Był pierwszym nauczycielem, który udzielił mi korekty, jeszcze jako uczniowi szkoły podstawowej, gdy przyszedłem na konsultacje ze swoimi pracami rysunkowymi i malunkami (nie można tego inaczej nazwać) przed egzaminem wstępnym. Trzeba powiedzieć, że plastyki uczyła w szkole podstawowej, polonistka (spuść Panie zastonę milczenia...), a moje doświadczenia plastyczne budowane były na oglądaniu i pastiszowaniu reprodukcji klasycznego renesansowego malarstwa lub pudełek firmy Revell, zawierających modele żaglowców i ich marynistyczne motywy. Pamiętam tę zawstydzającą chwilę, gdy w pracowni podczas lekcji z uczniami szkoły plastycznej i w ich obecności, p. Mieczysław łagodnie przekonywał mnie, żebym już więcej tego nie robił. Jakże często dziś mówimy to samo kandydatom podczas konsultacji. Są jednak tacy, którzy nie dają się odstraszyć. Potem, w szkole, na ul. Grodzkiej, wryły mi się w pamięć lekcje z p. Mieciem, lekcje rysunku technicznego i zawodowego. Jednak, nie ze względu na ten szlachetny przedmiot, który poprzez opisanie obiektu jest formą „opisania świata” (cyt. z M. Polo). Niezwykłość lekcji rysunku technicznego polegała na tym, że po krótkim wstępie do zadania można było natychmiast przejść do tego, co naprawdę było pasją pana Mieczysława – astronomii i kosmologii. Później, już jako kolega, opowiadał nam o swoich „pracach ręcznych” polegających na wielomiesięcznym, ręcznym (!) szlifowaniu szklanych tafli w pracowni, aby uzyskać soczewki i zwierciadła do budowanego teleskopu. Chyba go ostatecznie nie złożył – prawdopodobnie po prostu czas przemian przyspieszył i w rzeczywistości postpeerelowskiej dokonał zwyczajnego zakupu gotowej rury. Ja jednak wróć do lat nauki. Obok literatury miałem również pewien okres fascynacji kosmologią, co może wydawać się obecnie banalne, ale wówczas nadal w powszechnej wiedzy obowiązywała kosmologia newtonowska, a nowinki relatywistycznej fizyki i wynikającej z niej kosmologii, pomimo że miały już ponad pół wieku, wcale nie były czymś oczywistym. Czytywałem wtedy świetne czasopismo popularnonaukowe „Problemy” (ze znakomitą szatą graficzną M. Wasilewskiego) oraz „Podstawy kosmologii” Maziarskiego (podręcznik na studiach filozofii)

i na lekcjach rysunku technicznego, przy znudzeniu pozostałej części grupy, prowadziliśmy razem z panem Mieczysławem niekończące się rozmowy dwóch dyletantów. Nieraz nawet dzwonek nie był w stanie nam przerwać dysputy. Dziś to nudne i pospolite, ale wtedy dopiero pojawiała się w przestrzeni popkultury wiedza i terminy z kręgu kosmologii – pulsary, kwazary, dżety, czarne dziury. Wszystko wtedy było niezwykle ekscytujące, zda się na wyciągnięcie ręki – paleoastronauci Daenikena, kino sci-fi, space opera. Po raz pierwszy obejrzałem „Gwiezdne wojny” (nieistniejące kino Kosmos), w 1978 r. Ech, ta hiperprzestrzeń i ciekący hipernapęd...

Wreszcie trzecia osoba. Jan Marek senior. Nauczyciel rysunku i malarstwa. Dyrektor Liceum Plastycznego w Natęczowie. W naszej szkole nauczyciel. Uczeń Eibischa, ojciec Jana Marka młodszego. Niezwykła postać, której dramatyczną biografię poznałem później od Janka, dziś widzi mi się jako swoisty feudał koloryzmu. Mieliśmy z nim krótko zajęcia z rysunku i malarstwa i nawet nie pamiętam, żeby mocno wpłynął na mnie w tym, co produkowałem w pracowni, ponieważ miałem już wtedy skonkretyzowane zainteresowania i nie wybierałem się na studia artystyczne, ale zapamiętam jego zajęcia, będące spotkaniami bez taryfy ulgowej dla uczniów. Dziś wiem, jak ważny jest kontakt z osobą nie idącą w sprawach artystycznych na kompromisy, kontakt ważny, choć dla słabszych niebezpieczny. W przypadku młodszych nauczycieli postawa taka będzie zapewne „gwiazdzeniem” i „szamanieniem”, ale artysta w wieku fizycznej starości, o eksplodującej osobowości, intelektualnie i emocjonalnie gotowy na nową przygodę każdego dnia – to jest coś. Ponieważ przygotowywałem się na studia z historii sztuki, to szczególnie wdzięczny jestem za te lekcje rysunku i malarstwa, w których siadaliśmy na podłodze wokół Profesora (tak, właśnie Profesora!), który przynosił z biblioteki naręcza albumów i razem rozbieraliśmy na czynniki pierwsze obrazy mistrzów wielkich i tych mniejszych (szczególnie Corota i barbizoczyków). Czasem trwało to długo i nie było już okazji, żeby powrócić do sztalug, ale porcja świadomej wiedzy dotyczącej analizy formy była tym, co procentowało na studiach i później – w pracy z uczniami. Panie Profesorze, wielkie dzięki!

Krzysztof Dąbek

DKF – inaczej Dyskusyjny Klub Filmowy, jak sama nazwa wskazuje, opiera się na rozmowie o wcześniej obejrzanych filmach, w gronie pasjonatów kina, bądź osób, które po prostu chcą miło spędzić czas. Organizatorem kółka jest pan Robert Wojnusz, który trzyma pieczę nad wszystkim, co dzieje się na auli w prawie każdej środę. Wraz z radą DKF-u wybierane są filmy nie tylko oryginalne, ale często odbiegające od tego, co znajdujemy w różnych top 10-tkach. Na ostatnim seansie mieliśmy przyjemność obejrzeć film „Twarz Innego”.

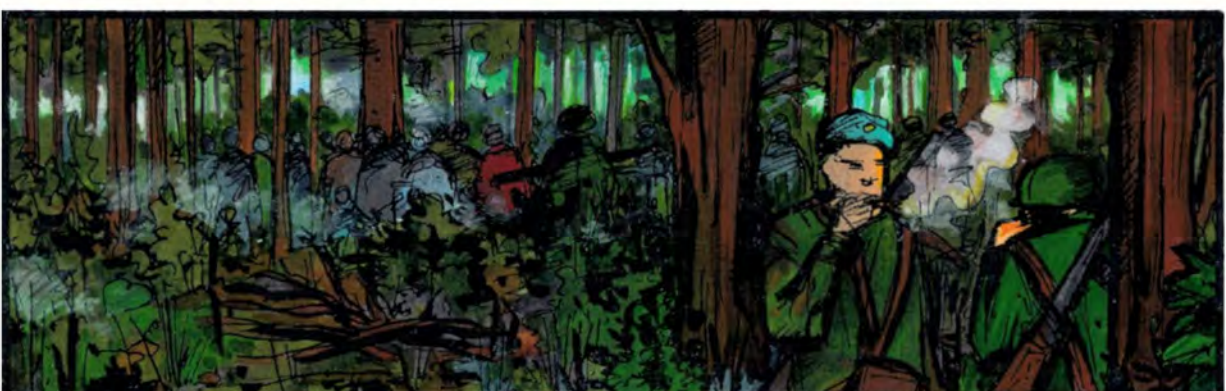
Repertuar na kolejne wieczory jest wybierany na bieżąco.

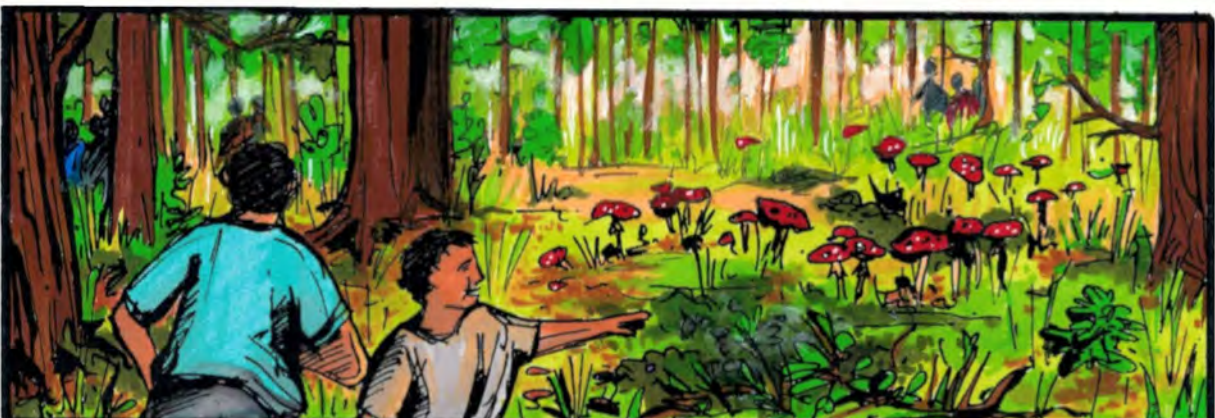
Jeśli jesteś chętny, by dołączyć do nas w najbliższym czasie, wypatruj plakatów na szkolnych ścianach, informujących o kolejnych spotkaniach. Może masz również sugestię, co dobrze by było zobaczyć następnym razem? Jeśli tak, zgłoś się do kogoś z rady: Karoliny Komar, Edyty Księżopolskiej, Julii Maksymiuk oraz Doroty Zatruckiej, bądź do samego Roberta Wojnusza.

Zapraszamy serdecznie wszystkich zainteresowanych!

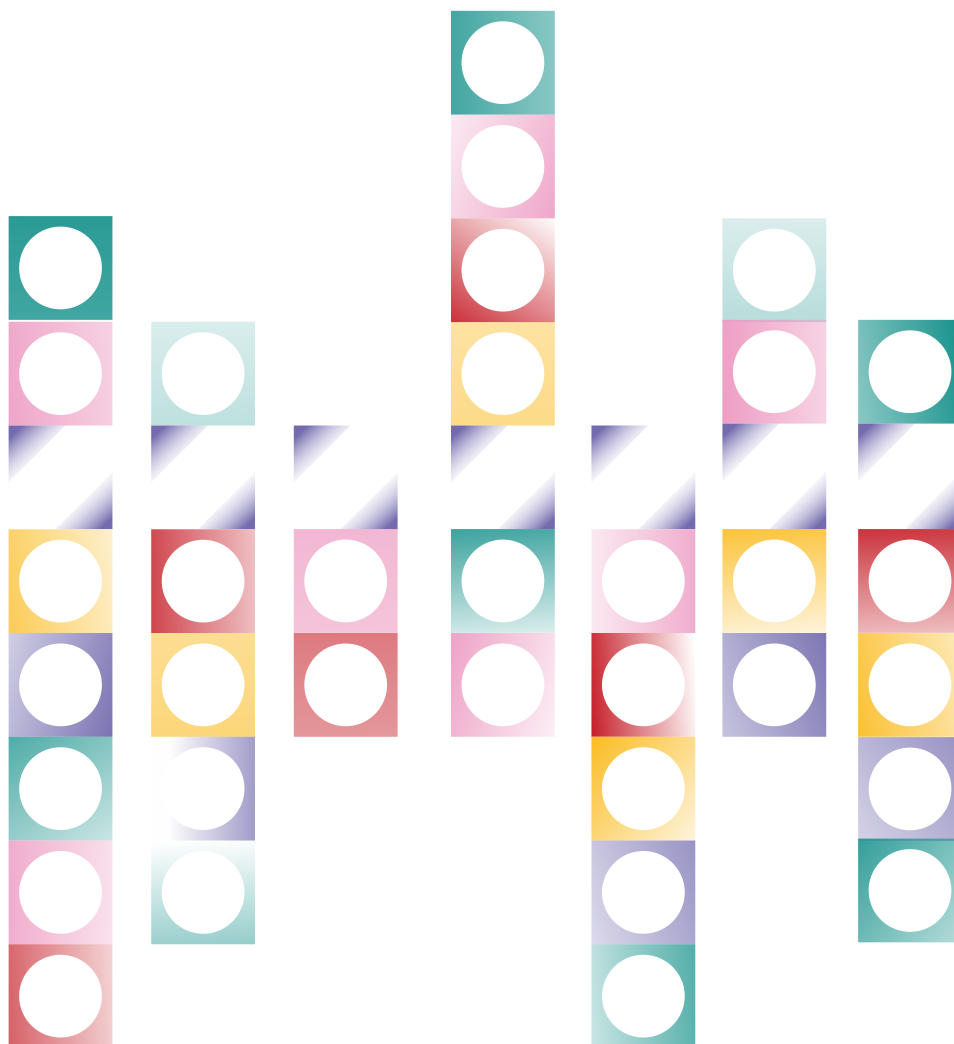
DKF











1. Profesor, który przed lekcjami wyśpiewywał „Godzinki”
2. Pozahistoryczna pasja prof. Jerzego Kozery.
3. Jego pamięci Norwid poświęcił żałosny rapsod.
4. Imię z bierzmowania Patrona naszej szkoły.
5. Miasto, w którym znajduje się słynna galeria Nationale Gallery.
6. Sięgnął bruku w jednym z wierszy Norwida.
7. Nasi sąsiedzi ze szkolnego podwórka.
8. Odkrył twórczość Norwida w epoce Młodej Polski.
9. Nazwa epoki, w której tworzy C. K. Norwid.
10. Tyle lat w tym roku szkolnym skończy nasz Dyrektor Krzysztof Dąbek.
11. O wyjeździe tam marzy prof. Tomasz Banaszkiewicz.
12. Profesor, który na lekcje kiedyś przyleciał... helikopterem!
13. Poetycki traktat Norwida o sztuce.
14. Cierpiął na tę chorobę C. K. Norwid.
15. Zwykle nas uczniów zaskakują podczas sprawdzianów.


 ramota
„Ramota”

Gazeta Zespołu
Szkół Plastycznych
im. C.K. Norwida
w Lublinie

Opieka

Ewa Wrona (teksty)
Robert Wojniusz (skład)

Projekt i skład

Maja Myszkowiak

Redaktorzy

Wiktoria Chrostek
Edyta Księżopolska
Natalia Marucha

Redakcja zastrzega

sobie prawo do
redagowania
przekazanych tekstów.



